

BEZ DEKRETU

Pismo członków i sympatyków
„SOLIDARNOŚCI”

NR 8

Kraków — Czerwiec 1985

Spis treści:

1. Rozmowa z księdzem Kazimierzem Jancarzem, wikarym parafii św. Maksymiliana Kolbego w Mistrzejowicach	3
2. Ewa Berberyusz - Czy ogarniamy?	9
3. Hubert Wroński - Polityka karna w Polsce w latach 1982-1985	19
4. Dokumenty represji	28
5. Berberys Nieutulony - Bóg nad nami a my pod zwierchnością	31
6. Władysław Bieńkowski - Komu potrzebna prawda?	33
7. Paweł Orkan - Opis gada - próba syntezy	37
8. Fridrich A. von Hayek - Nauka i socjalizm	42
9. Barbara Baryła - Imperialny cjonizm...	48
10. Jerzy Surdykowski - Robert zwycięzca	52
11. Bogusław Sonik - Cedry Libanu	58
12. Florentyna Łęczycka - Niezależność Rumunii - prawda czy mit?	65
13. Listy do redakcji	69
14. Konrad Struga - Smutno mi Boże	71

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

Niech się stanie fakt...

Rozmowa z księdzem Kazimierzem Jancarzem, wikarym parafii św. Maksymiliana Kolbego w Mistrzejowicach

- Czy czuje Ksiądz wokół siebie jakieś zagrożenie?
- Tak, ekologiczne.
- A ubeckie - mam na myśli inwigilację, śledzenie etc.?
- Jakież zapewne jest. Mam oczy i widzę, a poza tym od ludzi do-
wiaduję się, że są tutaj kapusie... Ale ja wszystkich ludzi traktuję
jednakowo. A poza tym nawet przechodząc przez ulicę mogę zostać po-
trącony. Czyli zagrożenie, o którym pan mówi, jest mniej więcej tego
rodzaju.
- A co to był za napad na Księdza samochód pod Gdańskiem, który
Urban obśmiewał w swoim dziennikarskim show tv?
- Jeżeli ktoś się śmieje to nie powód, by rozdzierać szaty.
- Toteż ich nie rozdzieram. Pytam jedynie, czy miał wówczas miej-
sce jakiś napad na Bożego sługę?
- W ogóle ciekawie było...
- Konkretnie proszę: wyjechaliście spod kościoła św. Brygidy w
Gdańsku...
- Byliśmy taksówką. Pierwsza rzecz - zaraz na wstępie było coś z
przednim kołem. Kazałem taksówkarzowi przełożyć je do tyłu i to koło
wystrzeliło jakieś 10 km przed Ostródą. Trochę nas po ulicy powłóczy-
ło, ale nic się nie stało.
- Taksówkarz był z Wami pierwszy raz?
- Tak. Dojechaliśmy do Ostródy i tam wzięliśmy inną taksówkę -
poloneza. Kierowca był bardzo sympatyczny. Pokazywał nam miejsce za-
machu na Księdza Jerzego. Jechaliśmy z szybkością 120 km/godz. Ja-
kieś 4-5 km przed Płońskiem kierowca zwolnił do 50 km/godz. Z naprze-
ciwka jechał tylko jeden samochód. Coś z niego wyleciało - huk...
krzyk, przednia szyba rozprysła się w drobny mak. Zatrzymaliśmy się,
co przy tak małej szybkości było możliwe. Numer tamtego samochodu
nie zdołaliśmy zanotować, bo zwał. Wydawało mi się, że był to fiat
125p. Bez szyby dojechaliśmy do Płońska. Tam wzięliśmy trzecią tak-
sówkę. Tuż za Płońskiem zatrzymała nas milicja. Wzięli taksówkarza,
nam zabrali dowody, porozumiewali się z "kims", zrobili dokładną re-
wizję i po 35 minutach mogliśmy odjechać. Spokojnie dojechaliśmy do
Warszawy, ale na mszę o dziewiętnastej nie zdążyłem.
- Dlaczego nie zgłosił Ksiądz tego "wypadku"?
- Nie zgłosiłem, bo to nie moja sprawa. To taksówka została uszko-
dzona. Poza tym, cóż im będąc zgłaszał, jeśli oni sami to zrobili.
- Jak w tym kontekście ocenia Ksiądz napad na księdza Tadeusza
Zaleskiego?
- Jest w tym jakaś metoda - chodzi chyba o zastraszenie duchowień-
stwa. Podobnie dzieje się z duchowieństwem czechosłowackim. Nie ma
wiele powodu, żeby się tym szczególnie przejmować. To chyba normalne...
A w sprawie ks. Tadeusza Zaleskiego chyba nie przypuszczali, że nskie-
rze to takiego rozgłosu. Oni robią swoje tak jak potrafią. Skoro im

nie wychodzi, to znaczy, że mało umieją. Religijne wytłumaczenie jest takie: człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Bóg zażądał śmierci Księdza Jerzego. Była mu widać potrzebna jako element Jego zbawczej ekonomii.

- A co dała śmierć Księdza Jerzego Waszej duszpasterskiej ekonomii?

- Myślę, że bardzo dużo. Czuje się ogólne przebudzenie. Nawet sprawy sobie nie zdajemy ile dała małym miasteczkom i wsiom, gdzie wszystko było uspione. To był jakiś wielki Znak. Jak wielki, pokaże czas.

- Ale bywa też tak, że właśnie w małych miasteczkach i wioskach mówi się: gdyby się nie mieszał do polityki, to by go nie zabili...

- Słyszemy 5% głosów a nie wiemy, co myśli 95%.

- Wy, księża, słyszycie chyba więcej?

- Chyba... Sądzę, że wielu księży się jakby rozbudziło. Może ta śmierć była im potrzebna. Zrodziła się między nimi solidarność. Mnie interesuje solidarność jako chrześcijańska forma współżycia społecznego. To jest pewna filozofia życia, bardzo nośna i głęboka. Ma ona chrześcijańskie korzenie i chrześcijańską tradycję. W czasie sierpniowych strajków robotnicy sami zaprosili księży do zakładów pracy w bolszewickim kraju. W krajach kapitalistycznych tego nigdy nie robią, choć nikt by im w tym nie przeszkadzał. To jest pewnego rodzaju fenomen i z tym trzeba się liczyć. Nie da się wykreślić z historii tego, że naród jest katolicki. Jest ochrzczony i łaska Boska działa.

- Jakie elementy uważa Ksiądz za podstawowe w owym chrześcijańskim pojmowaniu solidarności?

- Myślę, że podstawą jest Bóg. Wiemy, że jesteśmy dziećmi Bożymi i Bogu podlegamy. Tej władzy nikt nie neguje. Drugim elementem jest człowiek...

- ...jako twór Boski.

- ...jego godność, wolność i szacunek jednego człowieka do drugiego, możliwość wyrażenia się w sposób wolny i nieskrępowany. Trzeci element wynika z moich obserwacji - ludzie odczuwają potrzebę życia według pewnych zasad, które się nie zmieniają. Widzę, że ludzie mają dość kręactwa, kłamstwa, fsłszu, wszelkiego rodzaju cwaniactwa. Pragnęliby widzieć wartości etyczne i moralne na pierwszym miejscu. Nie ulega to dla mnie żadnej wątpliwości. To pragnienie dociera do mnie przez konfesjonał. Postrzegam je nawet u tych, którzy do konfesjonału nie przystępują, a żyją wspaniale. Akurat tak się składa, że mam kontakt z wieloma ludźmi, którzy do Sakramentów Świętych nie mogą przystępować, bo są np. rozwiezieni, czy też z innych powodów. Oni są jakby obojętni na praktyki religijne, ale wspaniale układają swoje życie moralne według chrześcijańskich zasad.

- Dlaczegoż więc Kościół zamyka im powrót na swoje łono?

- Myślę, że w tej dziedzinie dużo da się zmienić. Nie wiem... następnym moim krokiem będzie duszpasterstwo ludzi rozwiezionych, stojących na uboczu... Pierwszy raz o tym mówię. Są to sprawy do zastanowienia się, do zajęcia się nimi...

- Co Ksiądz sądzi o "Solidarności"?

- Będę mówił nie o "Solidarności" jako związku zawodowym. Nie miał on czasu zadziałać, rozwinąć się, dopiero zaczynał się tworzyć. Mówiąc "Solidarność" mam na myśli spontaniczny ruch społeczny. Ruch ten dał ludziom poczucie, że można żyć normalnie, że można normalnie głosować np. na kolegę z wydziału... Ten eksperyment i to przeżycie będzie owocować.

- Czy spotykają Księdza jakieś represje będące skutkiem owych donosów?

- Przychodzą wezwania, ale nie chodzę. Nie mam do nich interesu. Ostatnio miałem w 1982 roku, kiedy organizowałem I Pielgrzymkę do Rzymu i potrzebny mi był paszport. Nie dostałem go.

- Zastanawia mnie, po co wpuszczają kogoś, o kim wiadomo, że przychodzi jedynie po to, żeby złożyć donos?

- Jestem duszpasterzem... a to też jest człowiek. Nie mogę inaczej postąpić. Pan Jezus przecież powiedział, że lekarz nie jest potrzebny ludziom zdrowym, ale tym, którzy mają się źle. Judasza przecież tolerowali, a nawet go pocałowali.

- Chrystus przecież mieszał się do polityki i za to skazano Go na śmierć. Argument był taki: musimy Go ukrzyżować, bo jak nadal będzie nauczał, to wejdą Rzymianie i nas załatwią. Zaczynał więc Kościół od "działań politycznych" - w tym rozumieniu.

- Kiedyś był tutaj pracownik SB, który mi mówił: jak już ksiądz mówi te ostre kania, niech ksiądz przynajmniej nic nie mówi przeciwko Związkiowi Radzieckiemu i na nas tak nie gada... Odpowiedziałem mu, że jeżeli ich nie dotknę i nie pozdrowię, to od razu są wezwania.

- Czy odczuwa Ksiądz strach, zwłaszcza po tym zamachu?

- Pewien rodzaj lęku jest we mnie. Jeżeli nawet nie o mnie, to o innych. Szkoda każdego zamkniętego, zabitego. To człowieka boli... A o siebie? Postanowiłem służyć Panu Bogu i kiedyś trzeba to życie skończyć. Lepiej skończyć godnie. Co się stanie, to się stanie. Zostanie człowiek kaleką, to trzeba będzie i kalectwo cierpieć. Jestem zachwycony Księgą Hioba. Umiąłem dobrze z ręki Boga przyjąć, trzeba umieć przyjąć i co innego. Przepraszam Pana, ale mam chyba prawo swoją wiarę traktować poważnie.

- Oczywiście, choć sądzę, że niewielu jest takich, którzy tak potrafią traktować.

- Wszyscy potrafią, ale są bardziej uwikłani.

- W przyjmowaniu wszystkiego jako łaski Opatrzności jest rodzaj siły polegający na niesprzeciwianiu się. Może to siła wynikająca z bezsilny?

- Nie będę wybierał - tutaj mnie Pan Bóg postawił i tutaj mam za-kwitnąć - tak mówił Jan XXIII.

- Ale w każdym człowieku jest trochę pychy, zadufania w sobie - nawet nieświadomionego.

- Na razie mnie nic takiego nie spotkało. Nie wiem jak się zachowam, kiedy przyjdzie większe cierpienie, prześladowanie. Nie wiem, czy się nie zbłążnię. W swoim sumieniu uważam, że robię dobrze. Poszedłbym do innej parafii - też robiłbym to samo. Przecież to samo robiłem przed przyjściem do parafii świętego Maksymiliana Kolbego w Mistrzejowicach. Duszpasterstwo jest po prostu moim hobby.

- Co to jest duszpasterstwo?

- Jest to sposób organizowania życia religijnego parafii. Sposób! Mam trochę talentu organizacyjnego. Nie wstydzę się tego. Może to brzmieć trochę megalomańsko, ale widzę pewne możliwości, nowe sposoby... Poza tym mam wielkie zaufanie do ludzi. Przejeżdżam się na tym, ale niezbyt często. Właściwie w pracy duszpasterskiej boję się tylko jednego: żeby się nie stał kunktatorem.

- Rozumiem, że prócz wiary potrzebne są w tej działalności pieniądze.

- Jaka jest Księdza filozofia działania?

- Nie mam wielkiej filozofii działania. Sprowadza się ona do tego, żeby ludzie byli normalni, żeby mogli się uśmiechać, wybierać, sprzeczać, coś razem zorganizować. To mnie interesuje z punktu widzenia życia normalnego, bo życie koncesjonowane mnie nie cieszy.

- Czy to jest podstawa działalności duszpasterskiej w Mistrzejowicach?

- Nie tylko w Mistrzejowicach. Koło Mistrzejowic narosło sporo mitów i to mnie denerwuje. Dla mnie Mistrzejowice to taka parafia jak inne, w których pracowałem. Mistrzejowice to normalna parafia ze swoimi problemami. Wymaga wielkiego wkładu pracy i dużego wysiłku duszpasterskiego każdego typu. Do tej pory w kościele było rozwinięte duszpasterstwo dzieci i młodzieży. Myśmy zaczęli rozwijać duszpasterstwo ludzi dorosłych. I tak się złożyło, że w Mistrzejowicach duszpasterstwo ludzi pracy rozwija się. Moja zasługa jest najmniejsza.

- O Mistrzejowicach mówi się...

- ... a po co?

- Chyba po to, czy dlatego, że jednak "coś" tutaj dzieje się inaczej niż w innych parafiach?

- Proboszcz daje wolną rękę, jeżeli robi się coś dobrego dla chwały Boga, pożytku zbawiennego i pożytku Kościoła.

- Dobrze, dobrze... nazywajmy może rzeczy wprost. Dość już mitów narosło koło Mistrzejowic, których autorami są rozmaici nawiedzeni:

- Nie tylko nawiedzeni... Nabożeństwa są starą formą oddawania czci Bogu, gromadzenia się ludzi dla pewnych przeżyć religijnych,

- To wszyscy wiemy. Wiemy też, że stało się to pewnego rodzaju rutyną.

- W ostatnich czasach zaobserwowałem przypływ średniego pokolenia do Kościoła, tych 30-40-latków. Odkryli w Kościele normalną formę życia. Odkryli, że można w Kościele, w parafii coś robić. Chociaż muszę przyznać, że w moim duszpasterstwie niezbyt wielu parafian działa. Pracują raczej ludzie z Nowej Huty i Krakowa. Nie wiem jak jest w innych duszpasterstwach. Oazy są, wiem, bardzo mocne - chyba największe w krakowskiej diecezji...

- Czy przypływ, jak to Ksiądz powiedział, średniego pokolenia nastąpił po Sierpniu, czy po ogłoszeniu stanu wojennego?

- Już po Sierpniu, a po grudniu poszło na całego.

- Nie sądzi Ksiądz, że część przyszła, bo zabrali im "Solidarność" i nie mieli gdzie pójść ze swoją chęcią działać, bycia razem?

- Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Nie należy dawać zbyt prostych odpowiedzi, bo kłamią. Może ludziom po prostu odpowiada charakter czwartkowego nabożeństwa w Mistrzejowicach. Trzeba przyjąć, zobaczyć i posłuchać - jak ci ludzie uczestniczą we Mszy św., w słuchaniu Słowa Bożego. Jaki jest śpiew. Mam pretensję, że zbyt rzadko przystępują do Komunii św. Związane jest to może z tym, że nie ma wtedy akurat nikogo w konfesjonale. Może mają jakieś opory, a być może przychodzi wielu takich, którzy bardziej szukają niż są. Przychodzą, bo może odpowiadają im spotkania po Mszy św. Nigdy w życiu nie spotkali by tak wspaniałych i sławnych ludzi, którzy tutaj specjalnie przyjeżdżają dla nich. Artyści dla nich organizują wystawy, aktorzy dla nich recytują itd. Oni to widzą. Wiedzą też, że księża, którzy przyjeżdżają tutaj koncelebrować Mszę św. - też przyjeżdżają dla nich. Wytwarza się więc - chrześcijańska solidarność. Nie byłoby tych kościołów w

Nowej Hucie, gdyby nie chrześcijańska solidarność. Ona je zrodziła.. najpierw wojna o Krzyż, potem budowanie kościołów, następnie troska o nie i wreszcie "Solidarność" - ta związkowo-polityczna. Boję się więc prostej odpowiedzi. "Ciągłe ktoś mówi: a potrzebuję być razem...

- Można się zgodzić, a i spierać też. Przychodzą na złość komunie - też argument.

- To dialektyczne spory. Proszę zrobić wywiady z ludźmi, którzy tutaj chodzą. Wystarczy postawić jedno pytanie: po co przychodzisz?

- Rozmawiałem już z niektórymi. Odpowiedzi często są "pod" pytając. Część przychodzi ze snobizmu, bo wypada być w Mistrzejowicach.

- Chyba mała grupka.

- Nie wiem. Do tej grupki należy część występujących tutaj artystów.

- Powinien Pan zapytać - jacy wyjeżdżają. Co mówią kiedy wyjeżdżają.

- Jak długo po wyjeździe trwa stan uduchowienia?

- Bardzo długo, bo dzwonią, bo się sami zapraszają, bo przyjeżdżają czasami incognito, żeby tylko być... Ilu ludzi tyle motywów. Ale jakiś generalny, to chyba jest taki, że odkryli w tej parafii, iż jest ona dla nich, im służy i oni są ważni w tym kościele.

- Jakie były początki owej "ważności"?

- Po okresie, kiedy każdy wierzył, że "zima wasza, wiosna nasza" - ludzie zaczęli przychodzić i pytać: co robić? jak robić? Odbwały się rozmowy indywidualne, grupowe, rozmaite. Potem była głódówka w Załężu. Zgłosiło się dziewięciu. I decyzja: musimy być z nimi solidarni. Między nimi był jeden nawiedzony, a ja nie lubię kiedy ktoś chce Kościołem manipulować. Powiedziałem więc: owszem, uważam, że ten system ma coś ze złym duchem. Jestem o tym przekonany, bo jest tak zakłamanym, że poszczególni ludzie mogą być nawet dobrej woli, ale nic nie mogą, bo system przewróci wszystko do góry nogami... jak diabelskie koło. Poradziłem więc, że jedynie postem i modlitwą. Dziewięć dni pościliśmy, siedzieliśmy w kościele od 6.00 do 21.00. Modlitwy trwały cały czas. Nie było o tym informacji w żadnym piśmie podziemnym. Wiść przekazywano ustnie - jeden drugiemu. Dziewiąty dzień kończył się w czwartek. Akurat wtedy wypuścili z Załęża większość naszych internowanych. O 18-tej odprawiłem Mszę św. Po Mszy św. śpiewali, zaprosiłem kogoś... Było ponad tysiąc ludzi. Później dopiero zaczęli przynosić świece, kwiaty - takie symboliczne wyrazy solidarności. To pierwsze spotkanie podobało się, więc powiedziałem: przyjdźcie za tydzień, będziemy się o czwartek spotykać na Mszy św. I właściwie najlepiej było dotąd, dopóki nie zaczęto o tym pisać. Ludzie sami mówili innym: chodź do Mistrzejowic... Przez pierwsze półtora roku na kolacjach niemal błagałem, żeby ktoś wystąpił w Mistrzejowicach po czwartkowej Mszy św. Teraz najśmiańwiejsi muszą czekać w kolejce. I pisać zaczęli w gazetkach, bo pewnie już nie mają o czym.

- To normalne chyba.

- Mnie to przeszkadza, bo my tutaj o prostu normalnie pracujemy.

- Dlaczego Księdzu przeszkadza, czy źle piszą, czy nie rozumieją, czy...

- Na Zachodzie piszą, bo nie mają o czym pisać. Niczego nie rozumieją i robią z tego problem polityczny, a to jest bardzo fajny problem religijno-społeczny.

- Co to znaczy: problem polityczny?

- Nie będziemy tego dyskutować, bo szkoda taśmy. Nie mówmy dziś o tym, bo to jest tak głupie, że aż niepoważne. Przyszedł ubowiec do jednego proboszcza i mówi: proboszczu, wy się zajmujecie polityką. Proboszcz odpowiada: od tego mam kościelnego. Ja odpowiem tak samo. Najpierw trzeba by sprezywać pojęcie polityki - co nią jest, a co nie. Ja się zajmuję człowiekiem.

- Ale człowiek żyje w społeczeństwie.
- No to zajmuję się tym społeczeństwem.
- Społeczeństwem rządzi władza. W związku z tym...
- To niech sobie rządzi. Tylko niech rządzi dobrze. A rządzi źle, to dostanie tutaj kilka prztyczków, przypomni się jej jak ma rządzić.
- W imię obrony człowieka - tworu Boskiego.
- Przecież... i w imię obrony władzy przed samą sobą.
- Wszelka władza dana jest od Boga... ostatnio komunistyczne pisma cytują ten fragment Listu św. Pawła do Rzymian.

- Nie mają już czego cytować, to łapią się tego cytatu. Władza jest dana od Boga, ale niektóra jest dana ku dobru człowieka, a inna ku doświadczeniu go. Uważam, że Pan Bóg dopuścił nam na 40 lat tę władzę ku naszemu doświadczeniu. Mam prawo do takiego poglądu?

- Tak.

- Dla mnie społeczeństwo, naród, to jest rodzina rodzin i wszystko się układa jak w rodzinie. Jest funkcja ojca - w państwie spełnia ją władza. Ma zapewnić rodzinie byt, porządek... Matka zaś jest sercem domu. To jest Kościół. Rolą matki jest troska o atmosferę uczuciową... Kościół to robi. Kiedy matki zabraknie rodzina się rozpada. Są wreszcie dzieci w rodzinie, czyli ludzie w państwie. Oni są jak ewangeliczni synowie. Kiedy ojciec krzyknie - jeden mówi: tak tatu-siu i swój interes ubije. Drugi odpowie: takiego waża... Trzeci robi, bo ktoś musi zrobić. Jeszcze inni mają w nosie rodzinę i uciekają. I to przenoszę na społeczeństwo.

Jest jeszcze w rodzinie czasami funkcja ojczyzna. I ten narzucony system traktuję jako ojczyzna. Matka nie chciała, wjechał się, wjechał czołgami - cóż robić? Trzeba rodzinę, choć z ojczyzną, jakoś trzymać. Postuluję w wymiarze ghandystycznym lojalność wobec dobra Rzeczypospolitej, dobra rzeczywistego.

- Rozumiem, że dobro ma się zaczynać od człowieka.

- Od człowieka, rodziny parafii... to jest moja droga. Polityką byłoby zajmowanie się problemem niepodległości, walki o nią, partiami politycznymi. Ja się do tego nie nadszę. Robię to co umiem robić.

- Czy w Mistrzejowicach przyjmuje się każdego, który się zgłasza i chce coś zrobić?

- Każdego. Wiem o tym, że mamy tutaj ewidentnych przedstawicieli służby bezpieczeństwa. Wiem kto to jest.

- Lepiej mieć wroga u siebie niż na zewnątrz.

- Nie traktuję ludzi jak wrogów.

- Tu już Ksiądz "leci" Ewangelią.

- Tak jestem wychowany i nie wmawiaj mi niczego innego! Szanuję go jako człowieka. Jeżeli się rzuca, to z nim nie gadam. Wyrzucam za drzwi.

- A jak składa donosy?

- Niech sobie składa.

- Jeżeli się dużo robi, to i pieniądze są. Tego nauczyłem się od pierwszego mojego proboszcza, który budował kościół. Kiedy ludzie widzieli, że kościół rośnie, to sami przynosili. Tutaj robię - ludzie to widzą i przynoszą na to, na tamto.

- Jaką Ksiądz ma receptę jako duszpasterz na koegzystencję z tym systemem?

- Z tym systemem rozmawia się tylko metodą faktów społecznych dokonanych. Nauczył mnie tego obecny Papiież, a wówczas jeszcze Karol Kardynał Wojtyła. Najpierw niech się stanie fakt, a potem będziemy myśleć jak go rozwiązać... Poza tym najbardziej mi się podoba z Dziejów Apostolskich ten fragment, kiedy sanhedryn stwierdza: słuchajcie, jeśli to jest ludzka sprawa, to ona zginie śmiercią. Jeżeli jest Boska - to największe prześladowanie zniesie, przetrzyma i zwycięży...

Czy ogarniamy ?

Zawsze frapowali mnie ci, którzy odwracają się i spokojnie idą w drugą stronę. Jeszcze w hali Olivia, jesienią 1981, kiedy nie tylko ta sala, ale ulica, trotuary, sklepy, hotele, autobusy, pociągi krzyczały, że wszyscy są razem - zwróciłam na nich uwagę. Gazeta Zjadowska zrobiła sondę wśród ludzi mieszkających w promieniu 500 m. od obiektu i okazało się, że choć są tak blisko - są osobno. W euforii nikt na nich nie zważył, ale oni byli.

I są. Ilekroć ich widzę, nie mogę oprzeć się pokusie pójścia za nimi i zajrzenia im w oczy - może znajdę klucz?

Otoczenie grobu księdza Popiełuszki jest świetnym polem obserwacyjnym zjawiska podziaku, ponieważ ten niespełna hektar gruntu w centrum Żoliborza, z bezstylowym kościołem o dwu wieżach i jednym asymetrycznym umieszczonym zegarem, lamusowatym wnętrzem, rażąco nieproporcjonalnym krucyfiksem nad ołtarzem, plebanią, sadem, warzywnikiem, punktem informacyjnym, wartownią, kaplicą podziemną, wreszcie grobem - jest przedłużeniem tej samej rzeczywistości co w hali Olivia. Ograniczonej jednak fizycznie od tego przykościelnego terenu i wymagającej od tych, którzy tu wchodzą, aktu odwagi. Na zewnątrz panuje już bowiem rzeczywistość inna.

Znawcy ruchów masowych uczą, że to mniejszość bywa odważna i aktywna, ogół stanowi statyczną, bierną masę, ciężącą zawsze tam, gdzie bezpieczniej. Tu dzieje się odwrotnie. Czy chwilowe zachwianie proporcji, czy nowa jakość?

Ten sam "stosunek sił" obserwuję i dziś, 12 maja 1985 roku, upalnej niedzieli, kiedy po zimnach warzących kwitnąc drzewa, nastały nagle upały i której to daty postanowiłam zamknąć półroczną obserwację tego miejsca. Otóż i dziś ku kościołowi zmierza wielki tłum, w przeciwną stronę - garstka. Widać, jak się dzielią na niedzielnie wymiecionym z pojazdów Placu Komuny. Chwilę patrzę na tę garstkę, która w grupkach, w pojedynkę, objuczona plastikowymi torbami, zmierza na perki jarmarku ku Wiśle, potem dołączam do "narodu".

"Naród" jest dziś jednorodniejszy niż zwykle. W ciemnych garniturach, większość mężczyzn, krok niespieszny, rozglądają się, zadzierają głowy. Chłopi. Dużo chłopów - dziesięć, piętnaście tysięcy... Dojechali, choć zatrzymywano autokary i wmawiano, że na Ogrodników trzeba jechać koniecznie do Częstochowy - nie posłuchali. W czwartą rocznicę rejestracji Solidarności Wiejskiej u grobu księdza Popiełusz-

ki - patronów robotników - odbędą swoją Mszę. Paradoksalny sojusz robotniczo-chłopski, drwiąc z tych, którzy go wymyślili - tutaj się spełnia.

Suną ławą ulicą Felińskiego wśród obecnych tu już stale rekwizytów odpustowych, koszyków z panienską skórką, kręconą watą, obwarzków, świec - tylko żebraków, zwykle obsiadających parkan, przy niedzieli brak, ani tych prawdziwych, ani tych nabierających na wódkę, bo i tacy bywają.

Nie ma też zajeżdżających o każdej porze dnia autokarów. Kiedyś stanęłam i zaczęłam spisywać firmy, wyszedł z tego katalog przedsiębiorstw, swoisty dokument nazewnictwa obowiązującego w PRL; nie przytaczam ze względów zasadniczych, ale to właśnie tych instytucji i tych ludzi tyczą słowa, które padły z mównicy XIX plenum KC PZPR: "... Ileż takich przypadków, że gdy obchodzimy uroczystości czterdziestolecie zwycięstwa, to organizuje się wycieczki, oficjalnie do Warszawy, nieoficjalnie na grób księdza Popiełuszki! Gdzież w takich przypadkach są wychowawcy, gdzie są organizacje młodzieżowe, gdzie wreszcie rodzice?!"

Są tutaj. Może, gdy wrócą do siebie, zmieszają się z otoczeniem, zamilkną, przysiądą, może nawet zagłosują, jak trzeba? Ale nie mogą oprzeć się uczuciu, że ten akt uczestnictwa, którego tutaj dokonali, pójdzie z nimi głębiej i zostanie utrwalony inaczej niż rekwizyt turystyczny. Przychodzą tu jak do źródła - świadczą o tym nie tylko wzruszenia, sły i pytania. Obok tych zwyczajnych: które to okna były księdza Jerzego, albo jakie kwiaty złożył minister angielski, pytają na przykład o słuszność bytności prezydenta Reagana w Bitburgu. Po prostu: pytają jak żyć. Dzieje się tak, mimo że ten i ów "kierownik wycieczki" boi się zdradzić, skąd są, nawet dla celów wewnętrznej statystyki - nie wierzy tajemnicy papieru. Przyczyna zawsze ta sama: buduje kościół; straci posadę; nie dostanie przydziału. Podają ją z zażenowaniem, jak grzech...

Robi się coraz ciasniej. Nawet "żelazna" kolejka do grobu, posuwająca się zawsze w jednakowym rytmie wzdłuż sztachet, ma dziś trudności. W sztachetach zatknięte świeże, natychmiast wędnące w dzisiejszym upale kwiaty; ktoś mówi jak odkrycie: "patrz, przecież to Stocznia!"

Grób jest w prawym rogu dziedzińca patrząc od frontu. Po raz pierwszy ujrzałam go w zimie; mróz natychmiast warzył kwiaty, góra stojących na sztywno goździków i sianiszące się płomienie uwydatniały napis: "... zamordowany 19 października 1984 roku przez członków PZPR, oficerów MSW".

Nie było mnie w kraju w czasie tych zdarzeń. Znam je z relacji. Utkwiła mi w głowie scena: ks. Przekaziński przynosi do kościoła wiadomość o znalezieniu ciała, czuwających ogarnia panika: krzyki i gesty rozpacz. Ks. Folejewski próbuje od ołtarza przebieć się z głośnym "Ojcze nasz", które ginie wśród ogólnego wzburzenia. Gdy dochodzi do: "jak i my wybaczymy naszym winowajcom", podnosi głos: "powtórzcie to za mną", prosi, "powtórzcie jeszcze raz, i jeszcze rsz..." Nie od rszu nieartykułowane dźwięki układają się w słowa; potrwa, nim zabrzmiał chór: "wybaczymy naszym winowajcom". Ale gdy zabrzmiał, będzie już potężniało. I zostanie.

Nastrój spokoju uderza mnie tego pierwszego razu, gdy przychodzę tu w zimie. Spokój wśród pielgrzymów, wśród przytupujących z zimna trażników, wśród całej tej wspólnoty krzątającej się po terenie.

Bo czuwający nie opuścili miejsca. Zawarli niepisaną umowę, prywatne zobowiązanie wobec siebie - że zostaną. Jest ich cała Polska. Bo czyż apel o ciepłą odzież dla strażników zmateralizowany natychmiast w postaci kożuchów od górali nie świadczy o obecności?

Świadczą też o niej statystyki: przeciętnie 50 pielgrzymów na pięć minut; w ciągu dwóch tygodni grudnia '84 - 324 pielgrzymki ze 162 miejscowości; w ciągu dwóch ostatnich miesięcy tegoż roku - przyjmujących Komunię Świętą tyle, co dawniej w ciągu miesiący dwunastu. I fala nie opada.

Koleżankę spotkana wtedy, w zimie, przy grobie, powiedziała: "my tego nie ogarniamy".

Drugi raz "nie ogarniamy" usłyszałam z ust Słonia, jezuita, którego zawsze widzę tam, gdzie trzeba: gdy w marszu spowiada na pielgrzymce, gdy w czasie wizyty papieskiej tłumaczy milicji na Krakowskim Przedmieściu, żeby przepuścili ludzi, gdy wreszcie tutaj mówi do mnie z żarliwością: "Nie ogarniamy, nie ogarniamy, Ewuniu, tego wszystkiego, co się w Polsce z ludźmi dzieje. My, dwadzieścia jeden tysięcy kapłanów polskich, nie ogarniamy tej skali. Mamy braki wykształcenia, nie umiemy wprowadzać w życie społecznej nauki Kościoła, uchwał Soboru, nie znamy socjologii...". Słowa te wbrew swojej traści napełniają mnie otuchą: nie ma w nich chęci zawładnięcia czy stłamszenia, jest niepokój wynikający ze świadomości ogromu zadania i własnych niedostatków.

Czy on, czy inni kapłani przygotowali ludzi na to, jak zachować się dziś, i na to, jak zachować się jutro? Czy uzbroili ich w nadzieję, bo to nadzieja racjonalizuje zachowanie i podpowiada, że lepiej usiąść na krawężniku niż chwycić za kamień...

Teraz, w maju, grób oczywiście jest inny niż wtedy w zimie. Klepsydrę zastąpiła płyta otoczona wysokim na pół metra i stale rosnącym "murem" układanych płasko tulipanów i polerowana do połysku przez dyżurujące kobiety; napis stał się bardziej ogólnikowy: "Mężczyźniowi za wiarę i ojczyznę". "Były naciski, żeby poprzedni usunąć" - mówi pan Marczak, główny szef służby porządkowej, której zadanie jest stosunkowo proste: pilnować grobu. Dziewięćset mężczyzn skupionych w organizacji "Totus Tuus", zaprawionych przy obu wizytach papieskich, z gołymi rękami, z plakietką "Zło dobrem zwyciężaj" i legitymacyjną fotografią ks. Jerzego na piersi, podzieleni na piętnastki obecne tu dniem i nocą /zwłaszcza nocą!/, z własnym kantorkiem na dole, ze stółkiem dyżurującego dowódcy, który pilnuje "grafiku"; z herbata, z kanapkami robionymi taśmowo przez kobiecą gałąź służby - i z omiatającym nieustannie teren spojrzeniem.

Pan Marczak, hutnik, mówi, że podjął się swojego zadania, bo książkę Jerzy "wyznaczył go na śniadanie z Papieżem". W tym wyróżnieniu mieści się coś więcej niż kurtuazyjne "noblesse oblige". Pan Marczak woli tego nie werbalizować, nie czuje potrzeby słów, a co do pracy tutaj to poza zmęczeniem nie ma większych kłopotów. Bo nie kłopotce go fakt, czy oko kamery Rasortu umieszczone jest w bloku na Krasińskiego, czy w tajemniczym, zrujnowanym ogrodzie na Hozjusza, czy na przeciwko w willi z napisem: "Manicure, pedicure, henna". Może i tam, i tu, bo powiedziano mu na przesłuchaniu, że znają każdy jego krok na terenie. Niech znają! Infiltracji w szeregi straży, która wobec ogromnego napływu ochotników na pewno istnieje, też się nie boi. Niech sobie będą! Papiery na pewno mają dobre, więc nie wykryje ich kontrola. Raz dopomógł przypadek: zgłosił się bardzo młody rencista, pracował świetnie. Cień podejrzenia przyszedł panu Marczakowi do głowy, gdy chłopak

kupiwszy sobie sweterek z napisem "Honor i Ojczyzna" za pięć tysięcy złotych obnosił się w nim demonstracyjnie. Później został rozpoznany przez kolegę ze straży, i to dopiero jest ciekawe, bo ten kolega zachował się w sposób otwarty, dał mu szanaę: "albo się zdeklarujesz wobec nas, albo jutro nie przyjdiesz". Nie przyszedł, ale takie postawienie kwestii pan Marczak uważa za budujące.

Grób, mimo błyszczącej płyty, jest prowizorką. Dopiero pomnik nada mu charakter trwały. Projekty można oglądać na galerii. Może i lepiej, że frekwencja tu mała, bo wyobraźnię narodową - w konkursie na pomysły mogli wziąć udział wszyscy - poniosła bogoojczyźniana dewocja. Określenia te mają w obiegu społecznym charakter pejoratywny i tak też ich tu używam.

Z czterech najlepszych prac, między którymi nastąpi "dogrywka", najbardziej podoba mi się projekt o prostej symbolice, autorstwa zawodowców, choć nie rzeźbiarzy, ale architektów: zaorana skiba ziemi, wyrastający z niej sześciometrowy kłos, nad nim szesnastometrowy krzyż. Projektanci "poszli wwyż" świadomie: Gdańsk ma swój krzyż, Poznań ma - i Warszawa musi mieć - rozumowali, a ponadto powinien być widoczny z daleka. Kościół Św. Stanisława Kostki jest chyba najbrzydszą budowlą tego najładniejszego osiedla Warszawy. Osiedla obrosłego tradycją, bo ocalałego z wojny, rzadkość w Warszawie, ukazującego w sposób przestrzenny pewną ideę wspólnotową, której już nie ma, a która w okresie niepodległości wyrosła z humanistycznej wizji lewicy. Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa do dziś zachowawszy nazwę, choć zmieniawszy treść, prócz czterech ścian w blokach proponowała wówczas styl życia oparty na ludzkiej więzi, na zagubionym przez procesy urbanizacyjne sąsiedztwie. "Cztery ściany" w blokach zawartych między placami: Inwalidów i Wilsona /dzisiaj Komuny/ i arteriami komunikacyjnymi: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego - też były nie do pogardzenia. Choć przydział mieszkań odbywał się tu w oparciu o ówczesne związki pracownicze: tramwajarzy, budowlanych, ZNP, ale mieszkali w nich i intelektualisci, zwabieni nowatorstwem propozycji społecznych, jak np. socjolog Maria i Stanisław Ossowsky, czy architekci zjednoczeni wokół grupy "Presens" /odpowiednik niemieckiego Bauhausu/.

Żoliborz nie byłby wszakże tak urodziwy, gdyby nie różnorodność pochodzeniowa. Bo obok wuesemowskich bloków powstawało w tym samym czasie zrodzone z innej idei osiedle oficerskie, a raczej - zważywszy koszty tych pięknych w proporcjach białych dworców - generalskie.

Kościół powstawał samotnie, żeby nie powiedzieć w opozycji do otoczenia. Nie wspierały go ani generalskie kieszenie, ani tym bardziej skromniejsze kasy czy spółki lewicy. Dzięki skłonnościom dokumentacyjnym ówczesnego proboszcza, Stefana Ugniewskiego, zachował się swasty dziennik budowy w postaci dwutygodnika pt. "Parafia Żoliborska". We wstępniku numeru drugiego ks. Ugniewski cytuje oponentów, żeby z nimi polemizować: "Gotowi jesteśmy opodatkować się, wszelako stawiamy warunek, aby pieniądze przez nas zebrane zużyte były na rozbiórkę zaczętej budowy kościoła. Grosza zaś nie damy na dalsze prowadzenie robót".

Kościół jednak rósł dzięki nieprawdopodobnemu wprost uporowi jego twórców. Pierwszy proboszcz, młodziutki ksiądz Cyruliński, nim go zabrały galopujące suchoty, niezmordowanie bojował o plac pod budowę. O tym napisano: "W tym czasie rozeszła się pogłoska, że innowiercy otrzymują w darze jakiś plac w stolicy. Skorzystał z tej okoliczności nasz Najdostojniejszy Arcypasterz, Jego Eminencja ks. kardynał Kakowski i zwrócił się do pana Ministra Robót Publicznych, Ignacego Moraczewskiego, aby i katolikom na Żoliborzu Rząd podarować zechciał zie-

mię. Wynik starań był o tyle pomyślny, że parafia mogła upatrzony plac kupić".

"Ks. Cyruliński - donosi w ciągu dalszym Kronika. - miał tyle w sobie zapału kapłańskiego, że jał się jeszcze jednego ratunku, żeby nie płacić za plac. Postanowił udać się do pana premiera Bartla i prosić go o zwolnienie od opłaty. Pan premier rzekł, że zasadniczo woli, aby w Polsce budowano raczej kościoły niż karczmy. Prośby została wniesiona. Odpowiedzi nie było."

Ks. Cyruliński zdażył jeszcze zadołować wapno - na lepsze czasy. Odnalezione przypadkiem w roku 1977 poażyło do odnowienia kościoła.

Dlatego jest jasny. Na balkonik nad wejściem, na którym jak comiesięczne Msze za Ojczyznę, odbędzie się i dzisiejsza Msza Rolników, wjeżdża teraz stary sztandar z napisem "Żywią y bronią".

Biją dzwony na Anioł Pański. O tych dzwonach 1 marca 1936 roku ks. Ugniewski napisał tak: "na dwóch wieżach przewiduje się cztery dzwony, które kosztować mają ok.16.000 złotych."

Dzwony są w sumie dwa, asymetrycznie, podobnie jak zegar, na jednej wieży, ale biją pięknie. Teraz wsłuchuję się w nie kolejując za ołtarz, gdzie można zobaczyć zdjęcia księdza Jerzego. Np. jak wiosłuje w przykłęku w canoe. Przed tą fotografią zatrzymuje się w milczeniu najwięcej ludzi. Widać napięcie mięśni, widać opalenizną pod białoczarnym kolorem, i radość życia...

Nie odejmował sobie wakacji. "Wyskakiwaliśmy gdzieś nad wodę" - mówi ksiądz Przekaziński, przyjaciel. "Niepoważny był" - gorszy się Karol Szadurski, też przyjaciel: "Zasadzamy się na sumą nad Bugiem, wszystko zapięte na ostatni guzik, a Jurek dzwonekami rusza, robi fałszywa alarmy, ryby płoszy". I konkluzja: "To nie był typ wędkarza".

Jaki był? Prof. Klemens Szaniawski mówi, że był to człowiek, jak to na Wschodzie Polski bywają, milkliwy, niełatwo mówiący o swoich przeżyciach. Wobec nauki miał postawę pełną szacunku, ale i obaw. "Ja byłem tym objęty; patrzył na mnie spod oka jak na okaz egzotyczny; był świadomy bardzo, że my się różnimy. Przejście na ty ze mną było dla niego problemem, nie tylko ze względu na różnicę wieku. Ale aprobatę, jaką objął Profesora, była zupełna; może świadczyć o tym przytaczane zdarzenie: "Było to w okresie wyborów do rad narodowych, które zbiegły się z uniwersyteckimi. Jerzy usłyszał zbitkę słowną, że ja kandydowałem i zostałem wybrany. Nie skojarzył, że chodzi o wybory rektorskie na UW. Przyszedł do mnie, czułem, że się z czymś wagię, gdy wreszcie wykrztusił swoje obawy i gdy je rozwiłem słowami: jak mogłeś tak o mnie myśleć?!", odpowiedział: "a wiesz, że gdybyś ty nawet do tych rad kandydował, pomyślałbym, że coś widocznie w tym musi być"."

Po amnestii w lipcu '84 zdawał sobie sprawę, że nastąpi jakaś cezura w świadomości ludzkiej i że w związku z tym powinien zmienić typ swojej aktywności. Zapytywał siebie, co ma robić: chyba jest już pora, żebym ja czy wyjechał, czy się uczył; z czym ja do tych ludzi wyjdę...? Był to człowiek pełen zastanowienia, choć nie typ intelektualisty. "Nie wierzę, żeby dla niego propozycją pasjonującą - mówi Szaniawski - było studiowanie w Rzymie na kolegium Angelicum. Jego ciekawość obracała się ku faktom. Może historia Polski było mu najbliższa? O poglądach politycznych nigdy nie mówił. Mówił, co trzeba robić: że trzeba się upominać o tych, którzy siedzą. Był nietknięty szowinizmem, czysty. Partyjność, sekciarstwo, to się jego nie imać. Nie preferował żadnej orientacji, wszystkich przyjmował..."

Popiełuszko doprowadził do spotkania Kuronia z Moczulskim. Rozpromienił się, gdy się pocałowali. Chodziło mu o to, żeby ludzie różnie

myślący zaczęli mówić ze sobą. Może takie miał plany na przyszłość? "...I wiesz - mówi Szaniawski - ciekawe, ten wzór kapłana łączącego religię z patriotyzmem nie miał w sobie za grosz ciasnoty, nic z negatywnych cech Polaka-katolika..."

Wiem. Gdy słucham, jak inni bezwiednie go podrebiają w nawiedzonej, politykierskiej tonacji, przywołuję na pamięć nie tylko homilie, ale jego trzeźwe oceny. Ostatni raz słyszałam je właśnie w domu Szaniawskich, na Sadach; był sierpień czy wrzesień '84? Przyszłam tu po wywiad do ankiety dla "Tygodnika Powszechnego" "czyż są dla mnie słowa miłość Ojczyzny". Zastałam tam Kaiędzę. Miałam moment zawahania: przecież on powinien być respondentem tego pytania! Ale pragmatyczny punkt widzenia wziął górę: wyeliminowałam go w obawie, że przez niego cenzura zdejmie całosć. Włączyłam magnetofon. Książd się przysłuchiwał. Potem rozmawialiśmy we troje na tematy bieżące. Właśnie więźniowie wychodzili z amnestii, meldowali się na Żoliborzu. Charakteryzował ich lapidarnie, często gestem; o jednym pokazał klapy na oczach. Miał dla nich miłość i uznanie, co nie oznaczało ślepoty. W ogóle, znał socjologię swych wiernych, nie idealizował jej, znał te tłumy w niego wpatrzone - i umiał reagować. Pamiętam, jak przerwał kiedyś za pamiętanie w śpiewie słowami: "Rozstąpcie się, lekarz idzie, czy nie widzicie, że człowiek zemdłał!".

Na zewnątrz oślepia mnie światło dnia. Poczty sztandarowe Solidarności Wiejskiej stoją już ciasno w pierwszym szeregu. Msza zaraz się rozpocznie. Nastrój wonności, baldachimów, "Tantum ergo" i Bożego Ciała. Cisza taka, jak tylko chłopci potrafią zamrzeć i słuchać. Ruchy ustają.

Bezwładność tłumy kieruje mnie w stronę grobu. Płomienie świec, których prawie nie widać w słońcu, potęgują gorąco. Sztachety wyszane transparentami; już miecza mi się, które nowe, które stare, sprzęta się jej progresywnie. /Proboszcz każe czyste chować, ale chowa się wszystkie/. Zanotowuję jak leci: "Tyś wziął węgle nadziei w swe dłonie i rozdmuchał płomień" - Instytut Historii UW. "Przelałeś krew i zwyciężyłeś" - młodzież ze Szczawnicy. "Książdu Jerzemu, Solidarność Walcząca, Wrocław". "Wybaw nas od nienawiści, ocal od pogardy" - parafia Choroszów. "Bać się trzeba tylko zdrady Chrystusa za parę srebrników jałowego spokoju" - Wyższa Szkoła Morska w Gdyni... Gdy w pewnym Instytucie studenci powiesili ogłoszenie o zbiorce pieniędzy na kwiaty na grób księdza Popiełuszki, dziekan, dowiedziawszy się z Ministerstwa, że takie zbiórki są nielegalne, dopisał: "Jeśli umrę, wiedzcie, że składając się na wieniec, dokonujecie przestępstwa".

Ktoś obok mnie głośno sylabizuje napis na szarfie: "Pracownicy wojskowej służby zdrowia". "Powiedziałeś nam, że prawda warta jest życia" - Region Dolny Śląsk. "Przyjechaliśmy do Ciebie, Kapłanie robotników" - Region Podbeskidzie. "Woda czarna i głębsza od nocy, rzeźnym błotem przemymy ślepcom oczy" - solidarno pracownicy Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. "Kapłanie nadziei, wyblągaj dla nas siłę walki o wolność" - więźniowie KPN Rakowiecka; Kapieliśko Moreknie Sopot, Zakłady Graficzne "Dom Słowa Polskiego" z wierszem, dużo fatalnych wierszy, proporce szkolne, parzenie, tarcze, lilijki, coś po francusku... Najwięcej cudzoziemców jest w Książce Wpisów: The Royal Shakespeare Company obok Węgrów, którzy wpisali się tak: "Węgry są bogate, ale martwe, Polska cierpi, ale żyje, Polacy, pomóżcie w zmartwychwstaniu Węgień", i niedaleko, dużym wyraźnym piśmem: "Siostra sierżanta Karose", imię, nazwisko, adres.

Słychać dzwonki i na balkon wchodzą kapłani. W zasięgu mojego wzroku mam ogród z niezliczonych wieńców; podparte postumentami i poro-

stawiane na trawniku wyglądają jak kolorowe krzaki. Wśród nich kwietny krzyż Grzesia Przemyska, replika tych usuwanych kolejno z centrum miasta. Obok posązek dziewczyny z podpisem: "Niezlomnym Polkom poległym 1939-44", a po drugiej stronie kwatera AKowska. Rolnicy zwracają ku niej głowy, wpatrują się pilnie. Jest dziełem dawniejszym, tu-tejszego proboszcza, ks. prałata Teofila Boguckiego...

Właśnie od ołtarza słyszę jego silny, wojskowy głos: "Vivat solidarność miasta ze wsią! Warszawa otwartymi ramionami wita rolników, gospodarzy tej ziemi..." Tuż za nim, w cieniu, stoi siostra Krystyna pilnując jego serca. W czasie pogrzebu księdza Jerzego proboszcz powinien być na oddziale intensywnej terapii, ale nie chciał o tym słyszeć, dopiero gdy ciało złożono do grobu, osunął się ze słowami: "do domu". Choroba nie pasuje do tego człowieka o wojskowym wzięciu, siwej, gęstej czuprynie; widzę go raczej w mundurze jako kapelana ułanów, na koniu. Jego słowa brzmią jak rozkazy: tak-tak, nie-nie; szorstki, lapidarny, miłość Boga i miłość ojczyzny to dla niego jedna sprawa. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten człowiek, którego najbardziej świadome lata przypadły na czasy milczenia i samotności, dopiero w Popiełuszcze odnalazł realizatora swoich idei - ci dwaj ludzie znaleźli się jakby w korcu maku. Jednak gdy go pytam, dlaczego przyjął księdza Jerzego, odpowiada krótko: "bo się zgłosił".

Popiełuszek zastąpił tutaj księdza Przekazińskiego, który właśnie obejmował Muzeum Archidiecezjalne. Jego relacja: "wiedziałem, że Jurkowi będzie tu dobrze; ponieważ ksiądz Bogucki potrzebował serca i Jurek potrzebował serca. Dotychczas jakoś nie mógł nigdzie miejsca zagrać. Nie, wcale nie jest prawdą, że Jerzy był tak powszechnie lubiany w środowisku. Człowiek, który chce wyjść poza rutynowe ramy, zawsze napotka na trudności. Dopiero u ks. Boguckiego się odnalazł..." Ks. Bogucki: "dałem mu większe mieszkanie, bo wnet nawiązał kontakt z hutnikami..."

Pierwsza Msza za Ojczyznę odbyła się już 27 lutego 1982 roku z inicjatywy proboszcza, ale dopiero gdy wziął ją w swoje ręce ks. Jerzy, nabrała charakteru prototypu czegoś, co się bezwiednie przyjmuje jako wzorzec. Pamiętam wrażenie, jakie podczas jednej z tych Mszy, na początku stanu wojennego, wywołało na mnie "prawykonanie" Pieśni Konfederatów Barskich; wykonał ją młody aktor, szybko, jakby zachłystując się, w rytmie marsza. Potem pieśń ta stała się "szlagiéristem", żelaznym punktem repertuaru pielgrzymkowego, rozmaicie aranżowana i śpiewana, ale w tym charakterze, w tej swojej nowej funkcji społecznej, była znaleziskiem ks. Popiełuszki. Ksiądz Bogucki wyczuł, kogo mu los zesłał i pozwolił mu rozwinąć skrzydła. "Swobodnego działania nigdy nie było, aleśmy się nie przejmowali prężeniem zakazów", powie swoim charakterystycznym stylem.

Czy ogarnia to, co się na niego zważyło? Całą tę wielką komplikację? Bo miejsce, którym włada, nie jest Lourdes, nie jest Fatima, nie jest nawet Częstochowa. Jest czymś nowym, bardziej złożonym. A może boi się "intelektualisty w kościele", jak wielu duchownych? Może boi się nowinek, pomysłów, tych wszystkich inicjatyw bombardujących go zewsząd? Tej niebываłej ludzkiej obecności? A może się nie cieszy? Nie dowiem się. Nawykły całe życie do samotnych decyzji, nie dzieli się swoimi problemami. Mówi: "Pani ma pióro, niech pani napisze porządny życiorys księdza Jerzego. I niech pani palnie mównicę o Irlandii, zaraz wstawię panią do planu..."

Zaraz po księdzu proboszczu rolników wita od ołtarza drugi gospodarz, hutnik. Jacek Nowicki. Czego jemu brakuje w tym miejscu? Odpo-

wiadz jest szybka: "Dwóch osób, bo w pojedynkę te funkcje mógł pełnić tylko Jerzy; menadżera, który potrafiłby fizycznie zagospodarować całą tę lawinę ludzką i człowieka-duszy, do którego można by przyjąć ze sobą o każdej porze. Jak do Jurka" - wzdycha.

Młodemu małżeństwu, które w czasie Mszy dla rolników czyni honory domu na dole w zaimprovizowanym z biblioteki refektarzu, gdzie przybysza wita napis: "Pielgrzymie, dziękujemy ci za przybycie, po spożyciu tego skromnego posiłku, odpocznij i zrób miejsce innym" - brakuje właśnie miejsca. W sędzie ma kiedyś stanąć dom pielgrzyma, ale póki co, trzeba już, w tej chwili, wystawić barak, jakiś dach nad głową, żeby dać się ludziom przespać, choćby pokotem, umyć, zjeść; kartki na kwatery to mało, wielu odchodzi z kwitkiem, błąkając się po mieście jak owce; a przecież można by im ten czas zaaranżować odczytem, filmem, koncertem, wspaniała okazja - tyle parafii ma już video, a my...?! To małżeństwo mieszka tuż obok, ale tak naprawdę związało się z kościołem do śmierci Księdza.

Zofii Kuratowskiej, lekarce, która syntetyzuje pragnienia innych, brakuje w tym miejscu po prostu, centrum imienia Jerzego Popiełuszki; ośrodek, gdzie można by odpowiadać ludziom na pytania, z którymi przychodzi, rozwiązać te wszystkie wątki, które ludziom świeckim proponował ksiądz Jerzy, również i z jej dziedziny, etyki i kultury medycznej.

Tomaszowi Strzemboszowi, historykowi, brakuje - dorastania. Wiedział je w księdzu Jerzym. Prześledził, z racji zawodu - w życiorysach żołnierzy armii podziemnej w czasie okupacji. Wielu było chętnych do oddania życia i wielu je oddało. Ale nie przypadkiem tylko niektórzy przetrwali w narodowej pamięci. Przetrwał ksiądz Jerzy. Chodzi o to, żeby ta pamięć objawiała się w tym miejscu - dorastaniem.

Janowi Strzeleckiemu, filozofowi, brakuje tutaj rzeczy najtrudniejszej: refleksji. Zastanowienia nas wszystkich, którzy tu przyszli - nad sobą. Żeby powtarzając "Solidarność zwycięży", pomyśleć, co robić, jeśli nie. Chodzi o to, żebyśmy swojego stosunku do symboli nie topili w łatwiznie, jak w przypadku interpretacji słów Papieża: Jezeli Papież powiedział, że wolność jest nam zadana, nie wolno mówić, że jest nam dana, bo wtedy robimy z siebie takie święte dziaństwo...

Jan Strzelecki mieszka prawie na przeciw kościoła Sw. Stanisława w przedwojennych blokach. Wuesemiak" z urodzenia i ducha, jest też uczniem Stanisława Ossowskiego, a dziś może reprezentować nie tylko dawną Żoliborską lewicę, ale tych wszystkich, którzy jakby w olśnieniu zwrócili ku Kościołowi swoje umysły, swoje zaciekawienie i swoją nadzieję. Władza mówi, że dla interesu. W takim razie, byłby to interes natury duchowej: że tędy prawda, i że należy jej poszukiwać w pismach, encyklikach, homiliach - i na kolanach. To wielkie ludzkie zbiorowisko uznaje Żoliborski kościół za swoje miejsce i za swoją odpowiedzialność, taką, jaką czuje się wobec własnego dziecka.

W Wielkim Tygodniu, w okresie szczególnie wzmózonego ruchu przy grobie, podsłuchałem rozmowę dwu pracujących tu kobiet, które na moment przerwały pracę, przysiadły na papierosa. Mówiły o niepopieczonym cieście w domu, o niesprząniętym mieszkaniu. "U mnie jak po rewizji", powiedziała jedna, a druga zrozumiała, bo obie znały sytuację z autopsji. Ale przecież ta kategoria osób nie wyczerpuje obecności; do pomocy zgłasza się coraz więcej spokojnych "statystycznych" rodzin w wieku produkcyjnym, u których nigdy nie było rewizji, i daj Boże - nie będzie.

Dzisiaj, w czasie tej uroczystej Mszy, odprawianej w bezwietrznym, burzowym upale, gdzie mieszają się zapachy tulipanów, bzu, mleczków i konwalii - widać jak bardzo człowiek jest istotą dwoiścią, jak bardzo składa się z duszy i ciała. Z tłumy ciągną ludzie z dolegliwościami; nierzadko stary prowadzi młodego. Punkt sanitarny zainstalowano w warzywniku. Przychodzą do siebie pod jabłonką na koślawej ławeczce przy schowku na narzędzia.

Siedziałam tu z Karolem Szadurskim w kwietniu, było ciemno, z trudem notowałam: Zapamiętał pierwszą Mszę odprawianą przez księdza Jerzego u nich w Hucie 30 sierpnia 1980 roku o dwunastej w południe. Sam na niej nie był, bo pilnował stołu strajkowego, ale pamięta, że ludzie wrócili z niej uskrzydleni, czemu się dziwił, bo po trzech dniach strajku brało ich już zmęczenie. Od początku chcieli Mszy, rozbiegli się nawet w pobliskie parafie, ale księża odmówili /jeden potem się namyślił i przyszedł/ - Popiełuszko przyszedł bez namysłu, i został. Zapamiętam Mszę 26 kwietnia 1981 roku, na której został poświęcony sztandar Solidarności Huty; była wielką lekcją dla mieszkańców Zoliborza, przyszło około 25 tysięcy ludzi. Zapamiętał, że były trudności z przewiezieniem sztandaru do Huty, ludzie biegli całą drogą obok samochodu, przekazali go pracującej zmianie. Zapamiętał następnie postrzelenie Cjca Świętego 13 maja; zadzwonili do Jurka, czy by nie przyszedł odprawić Mszy w intencji zdrowia Papieża u nich; postawili ołtarz przy bramie. Potem zapamiętał śmierć Prymasa Wyszyńskiego; hutnicy budowali ołtarz na Placu Zwycięstwa; zapamiętał, jak Jurek był silny w rękach: dźwignął płytę granitową, której chłop jego postury nie dźwignąłby; zdrowie w niego wstępowało w czasie działania, był szalenie ambitny, tak jak powiedział o nim proboszcz: "Był ptakiem, który nie dał się nikomu prześcignąć..." Po 13 grudnia, w strajk, Jurek nie był z nimi, na plebanii miał punkt kontaktowy. Potem zapamiętał go w sądzie, z ławy oskarżonych; gdy zobaczył, że siedzi między ich żonami, ogarnął go spokój, wiedział, że nie musi się martwić o rodzinę, dzieci. Ale najbardziej zapamiętał jego obecność w lokalu Solidarności w Hucie; potrafił godzinami siedzieć w Komisji i przyglądać się ich pracy...

Tyle Karol Szadurski. Ks. Przekaziński, starszy kolega Popiełuszki z seminarium, konkluduje, że Jurka uformował Prymas Wyszyński. Miał na kleryków ogromny wpływ. "Był to zupełnie inny człowiek, jak przychodził do nas, na Krakowskie. W czarnej sutannie, bez insygniów, bez dystansu, który go normalnie cechował, siadywał z nami na ławce w korytarzu, jadł obiad i gawędził". Opowiada, jak całym semonarium wstrząsnęły obchody milenijne w 1966: "Ta bijatyka pod katedrą i potawa Prymasa wywarła trwałe piętno na studencie pierwszego roku, jakim był wówczas Jerzy Popiełuszko".

Uroczystość rolników ma się ku końcowi. Przebrzmiało "Święty Boże, święty mocny" śpiewane tak, jak to się tylko na wsi śpiewa; przebrzmiało "Zdrowaś Maryjo, Bogarodzico", przebrzmiały modlitwy za Marszałka Piłsudskiego i prezesa Witosa /apoka, w jakiej żyjemy, odczędziła wzajemne animozje/. Teraz brodaty aktor czyta słowa kardynała Wyszyńskiego wygłoszone do delegacji Solidarności Wiejskiej po rejestracji Związku: "...Postanowiłem, gdy się nowe władze ukonstytuowały, wyłożyć rzecz po profesorsku... Człowiek jest odpowiedzialny za gospodarowanie ziemią, to jego tytuł do wiązania się w stowarzyszenia; państwo nie może nadawać tego prawa, tylko je stwierdzić... Figłów administracyjnych będzie co niemiarą, wcale się nimi nie przejmujcie. To jest zwykły prąd, nie znajdziecie ani jednego biskupa, który by myślał inaczej... W tych kilku miesiącach zrobiliście tyle, ile w ciągu lat nie zrobiono..." Nagłośnienie jest świetne, głos ak-

tora naelektryzowany. Mam uczucie, że słuchamy nie tylko my, Ludzie tutaj z wyboru zgromadzeni, ale i ci w blokach, na leżakach, na rowerach; nawet ci w samochodach służbowych, w budach i przy armatkach wodnych. Wydaje mi się, że jest w tych słowach jakieś zaraźliwe, optymistyczne napięcie.

Poczty sztandarowe ruszają do grobu, by się nad nim pochylić; potem w procesji okrążają kościół. I wreszcie słyszę: "Ojczyzno ma, tyleś razy we krwi skąpana, ach, jak wielka dziś twoja rana, jakże długo cierpienie twe trwa..."

Nikt na pewno nie wie, skąd ta pieśń przyszła; pojawia się zawsze na końcu, nie podlega żadnej reżyserii; dobra do marszu i do pogrzebu, doskonała socjotechnicznie. Zawsze gdy ją słyszę, ogarnia mnie rozdwojenie: dołączyć, albo odciąć się. "Narażę się milionom - powie Klemens Szaniawski - ale ja nie znoszę tej pieśni". A ja się jej boję. Ludzie zamarli w ekstazie, zwróceniu do siebie, wrody wobec tych którzy robiliby co innego, nawet do Komunii przejść nie wolno. Ta pieśń kumuluje niebezpieczeństwo zawarte w zjawiskach masowych: nietolerancję i agresję, dając w zamian jakieś bolesne ukojenie. Ksiądz Jerzy nie odbierał im tej pieśni, ale nad nią panował. Potrafił przezwąć. nakręcany jak Bolero Ravela refren.

Dziś chłopci śpiewają go krócej i z większym umiarem. Ostatnie błogosławieństwo i wreszcie - spoczniej! Widzę, jak w rozgardiaszu nawoływań, pożegnań, umówień - dziedziniec trawersuje główna celebrans dzisiejszej Mszy, ks. Bogusław Bijak, proboszcz parafii w Wilanowie na przeciwległym krańcu miasta. Wygłosił piękne kazanie w starym stylu, ludziom się podobało, ale gdy tak patrzę, jak przemierza samotnie plac, nagle uderza mnie, że w stosunkach wierni-duchowieństwo nastąpił przełom. Ten sam duch aktywnego poznawania Kościoła w jego dokumentach, objął i osoby. Polacy dalecy od nowinek religijnych typu holenderskiego, nie wymuszający dla siebie od swoich księży pobożania, wymusili partnerstwo. Nikt już nie ściele się przed sutanną; partnerstwo zawiera bowiem w swej istocie poufałość, ale i dar wybaczenia, jednego nie toleruje: nieszczerości, kamuflażu. Dlatego w takiej cenie są słowa konkretne. Nie, ludzie wcale nie wymagają od swoich księży upolitycznienia, nie wymagają zbytniego intelektu, ale wymagają zajęcia stanowiska, gdy dzieje się zło.

Toteż teraz, komentując teksty, jakie padły w czasie uroczystości od oktarza, rolnicy żartują, że "Janowski przebił Bijaka" - bo Gabriel Janowski, dawny działacz Solidarności Wiejskiej, a obecnie - duszpasterstwa rolników, tak przejął się swoją nową rolą, że również wygłosił kazanie, tyle, że na końcu ujął się za więźniami. Dostał brawa, ale nawiasem mówiąc i jemu nie omieszkało wspomnieć, że wybory soltyśców zostały przegapione...

Dziedziniec powoli opuszcza społeczność rolnicza. Ale już zaczyna ją schodzić się inni. Ksiądz Małkowski, którego wesołe okrągłe oczy znamionują raczej ogromną potrzebę bycia z ludźmi niż wenę polemiczną, zwykle prosto od pogrzebów na Wólce Węglowej przychodzi tutaj. Teraz siada w konfesjonale, do którego ustawiła się kolejka...

Jest wpół do czwartej. Na Felińskiego czerwony fiat, w nim mundury, obserwują demonstracyjnie wejście. Po śmierci księdza penetracja jakby ustała, czy znów się zaczyna? Patrząc na kościół: jakie jeszcze przeżyje koleje? Podobno, ma tu stanąć stacja metra.

Na Placu Komuny spotykam te same co rano grupki ludzi, wracają z jarmarku, objuczeni plastikowymi torbami z handlem zamiennym. Wydają mi się nagle smutni i nudni.

Znacznie mniej wyraził się niż Jerzy Popiełuszko, wtedy u Szaniawskich, gdy go widziałam po raz ostatni, w zielonym sweterku; wyglądał chłopięco i sportowo, lepiej mu było po cywilnemu niż w sutannie; zauważyłam, że jego opalenizna jest wyjątkowo ciemna jak na blondyna. Nagle powiedział: "budzę się w nocy zlany potem, co ja im jeszcze powiem...?"

Jest w tych słowach to samo "nie ogęrniamy", jakie później powtórzy jezuita Słoń. Jak również w tym, co wyrzekł mimochodem do przyjaciela zaniepokojonego o jego życie: "czy wiesz, czym może być śmierć kapłana w tej sytuacji? Żyjąc nie potrafiłbym tego dokonać".

EWA BERBERYUSZ

Maj-czerwiec 1985.

Polityka karna w Polsce w latach 1982 - 1985

I. PUNKT WYJŚCIA

Rok 1979 zamknął pierwsze dziesięciolecie obowiązywania w Polsce nowych ustaw karnych. Bilans polityki karnej za ten okres ostatecznie rozwiązał złudzenia co do liberalizacji wymiaru kary pod rządami obowiązujących od 1970 r. ustaw karnych, a przedstawiał się następująco:

1/ Bardzo wysoka liczba osób osadzonych w zakładach karnych /skazanych, aresztowanych/. W r. 1979 w więzieniach i aresztach w Polsce przebywało 106.243 osób, czyli ponad 300 na 100.000 ludności, choć w większości krajów europejskich wskaźnik ten wynosił nie więcej niż 100, a w krajach socjalistycznych /bez ZSRR, gdzie wynosił podobno ok. 500-600/ wahał się w granicach 100-200.

2/ W r. 1979 wymierzono wprawdzie o 15,7% mniej niż w r. 1969 kar pozbawienia wolności bez warunkowego ich zawieszenia, ale orzeczone kary były znacznie wyższe. W porównaniu z 1969 r. liczba kar pozbawienia wolności nie wyższych niż 1 rok zmniejszyła się w r. 1979 o połowę /z 55,3% ogółu kar pozbawienia wolności do 28,2%, za to zasadniczo wzrosła liczba kar pozbawienia wolności wynoszących ponad 2 lat /z 17,2% do 24,5%. Przeciętna długość odbywanej kary pozbawienia wolności wynosiła w r. 1979 ponad 2 lata, choć w r. 1969 wynosiła nie wiele ponad półtora roku.

3/ Stała tendencja do zaostrzenia sankcji ekonomicznych doprowadziła do tego, że w r. 1979 średnia kara grzywny wzrosła do ok. 15.000 zł.

Sierpień 1980 położył kres bezsensownej eskalacji karania. Wykazano wówczas, że polski system karny jest nadmiernie represyjny, a nasilenie kar pieniężnych prowadzi do fiskalizacji wymiaru sprawiedliwości. W wyniku tej krytyki w r. 1981 liczba kar bezwzględnego pozbawienia wolności spadła w porównaniu do r. 1979 o 1/3 /ponad 16.000 mniej tych kar/, obniżeniu uległa wysokość orzekanych grzywien. Wskaźnik pozbawionych wolności na 100.000 ludności spadł do ok. 200 /mimo to był jednym z najwyższych na świecie/.

Liberalizacji wymiaru kary w r. 1981 nie towarzyszył, wbrew kłamliwej i hałaśliwej propagandzie, wzrost liczby przestępstw. Statysty-

Wszystkie dane liczbowe dotyczące Polski są zaczerpnięte z publikacji Ministerstwa Sprawiedliwości.

ki milicyjne wykazują wprawdzie w r.1981 większą niż w poprzednich latach liczbę przestępstw, lecz wzrost ten był czysto pozorny. Wynikał on przede wszystkim stąd, że milicja zaczęła rejestrować każde przestępstwo, zamiast - jak dotąd - rejestrować niemal wyłącznie te przypadki, w których można było wykazać się wykryciem sprawcy. Najwłaściwszym miernikiem spadku przestępczości w r.1981 jest zasadnicze obniżenie się liczby skazań za przestępstwa w tym roku: o 17,4% w stosunku do r.1979. Wzrastał wówczas tylko jeden rodzaj z nadających się do porównań przestępstw /i to nieprzerwanie od pierwszej połowy lat siedemdziesiątych/ - włamania. Wzrost ten zresztą utrzymuje się do dziś, a milicja nie umie sobie z tym problemem zupełnie poradzić.

W latach 1980-1981 podjęto prace nad nowelizacją ustaw karnych. Opracowano dwa projekty: rządowy i "Solidarności", oba zgodnie w podstawowej tendencji, tj. w dążeniu do zasadniczego złagodzenia zagrożeń karnych oraz otwarcia sądom znacznie bardziej elastycznego /dostosowanego do konkretnego przypadku/ wymiaru kary. Wydawało się, że polskiemu wymiarowi sprawiedliwości w sprawach karnych uda się przywrócić ludzkie oblicze.

II. OKRES STANU WOJENNEGO

Po 13 grudnia 1981 r. pierwszy impet wojskowej władzy skierowany został na złamanie opozycji politycznej. Sprawy te są powszechnie znane, nie ma więc potrzeby szerzej o nich pisać. Przypomnijmy tylko, że Dekret o stanie wojennym zawierał przepisy karne przewidujące drakońskie kary za każdy przejaw oporu wobec władzy państwowej, a wprowadzenie Dekretem z dnia 12 grudnia 1981 r. o postępowaniach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczenia w czasie obowiązywania stanu wojennego postępowania doraźnego oraz rozszerzenia w zasadniczy sposób postępowania przyspieszonego pozwalało jeszcze zdecydowanie zaostriżyć represję karną.

Nie zapomniano też o nasileniu karania w innych dziedzinach. Projekty nowelizacji kodeksu karnego z r.1981 zostały ocenione jako "zgniło-liberalne", na całej linii nastąpił nawrót do polityki karnej z lat siedemdziesiątych. Już w dniu 26 maja 1982 r. uchwalono Ustawę o zmianie niektórych przepisów prawa karnego i prawa o wykroczeniach /Dz.U. nr 16 poz.125/, którą podniesiono dolne i górne granice grzywien za przestępstwa i wykroczenia. Dotąd za wykroczenie groziła grzywna do 5000 zł, teraz do 20.000 zł. Za przestępstwa groziła odąd kara grzywny samoistnej od 5.000 do 100.000 zł /zamiast od 500 do 25.000 zł/, a dolną granicę kary grzywny orzekanej-obok kary pozbawienia wolności podniesiono z 500 do 5.000 zł. Dnia 9 października 1982 r. znowelizowano Ustawę o zwalczaniu spekulacji, rozszerzając katalog czynów karalnych, a także wprowadzając przepisy zmierzające do przyspieszenia postępowania oraz zaostżenia wymiaru kary. Nowe przepisy karne zostały również wprowadzone przez Ustawy z dnia 26 października 1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi /Dz.U. nr 35 poz.230/ oraz o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy /Dz.U. nr 25 poz.229/.

Wskazane zmiany stanu prawnego wymagają przypomnienia i podkreślenia z następujących względów. Między regulacją prawną a rozmiarami przestępczości istnieje prosta zależność: im więcej przepisów prawnych uznających określone zachowanie za przestępne, tym więcej rejestruje się przestępstw. Stąd ten obecny wzrost liczby zarejestrowanych przestępstw trzeba przede wszystkim składać na karb wprowadzenia całego szeregu nowych przestępstw, a nie tego, że coraz częściej popełniane są przestępstwa znane poprzednio. Najwyraźniej odbiło się to na liczbie przestępstw spekulacyjnych, których gwałtowny wzrost notuje się od chwili wejścia w życie, a następnie "poszerzenia" Ustawy o zwalczaniu spekulacji. Natomiast przestępstwa znane od dawna na ogół nie wykazują tendencji wzrostowej, tj. w poszczególnych latach ich liczba utrzymuje się raz na wyższym a raz na niższym, ale mnie więcej

stałym poziomie. Zastrzec się jednak należy, że wyjątek stanowią tu włamania /o czym pisano wyżej/ oraz że obraz ten może ulec zmianie, a być może zaczął się już zmieniać w r.1984, do czego jeszcze powrócimy.

III. OKRES PO ZAWIESZENIU STANU WOJENNEGO

Nasilenie represji karnej po zawieszeniu stanu wojennego nie tylko nie osłabło, lecz wręcz przeciwnie - zostało poważnie zwiększone. Przepisy karne Dekretu o stanie wojennym zostały w poważnym stopniu włączone na stałe do ustawodawstwa karnego. W Ustawach z dnia 18 grudnia 1981 r. /Dz.U. nr 41 poz.273/i z dnia 28 lipca 1983 r. /Dz.U. nr 44 poz.203/ zmieniono art.art. 243, 273 i 278 kk oraz dodano art. 282a kk, pozwalające odłączyć od karania czynów uznanych za przestępstwa w Dekrecie o stanie wojennym. Co istotne, określenie tych przestępstw a zwłaszcza ujętych w art.282a kk, zostało do tego stopnia "rozmyte", że przepisy te można stosować tak "elastycznie", że niemal dowolnie. Jasne jest więc, że zwieszenie a następnie zniesienie stanu wojennego nie zmieniło w istotny sposób sytuacji w zakresie prawa karnego. Jedynym novum było uchylenia przepisów o postępowaniach szczególnych w okresie stanu wojennego. Procesy karne miały odłączyć przebiegać według reguł "pokojowych" a nie "wojennych".

Odnótować również wypada, że dnia 6 kwietnia 1984 r. znowelizowano ustawę karną skarbową /Dz.U. nr 22 poz.102/. Nawiasem mówiąc nowelizacja ta poszła tak daleko, że można mówić o wprowadzeniu w życie nowej ustawy karnej skarbowej. Zmiany poszły w dwóch kierunkach: a/ zaostrożono drastycznie kary pieniężne, przy czym górna granica kary grzywny została podwyższona z 1.000.000 do 5.000.000 zł, b/ rozbudowano szereg przepisów w ten sposób, że można przy ich pomocy karać za więcej czynów niż poprzednio.

Praktyczne skutki takiej regulacji prawnej nie dały na siebie długo czekać. W r.1984 wzrosła zasadniczo liczba bezwzględnych kar pozbawienia wolności. Karę taką orzeczono w tym roku wobec 48.814 osób, stanowiła ona 35,7% wszystkich kar zasadniczych /w r.1982 - 26,2%, w 1983 - 29,5%/. Co trzeci /z górą/ skazany w r.1984 wędrował zatem do więzienia. Dla porównania podajmy, że w krajach zachodniej Europy bezwzględne kary pozbawienia wolności są orzekane wobec 6-10% skazanych, a dodać trzeba, że orzeka się tam kary niepomiarne łagodniejszej /ok.80% kar pozbawienia wolności orzeka się w wymiarze do 1 roku/.

W r.1984 wzrosła też średnia kara grzywny, wynosząca 26.162 zł /w r.1983 - 20.305 zł/. W r.1984 orzeczono znacząco więcej grzywien powyżej 50.000 zł, tj. 9732 wobec 5357 takich grzywien w r.1983. Wskazać przy tym trzeba, że orzeczonych w poprzednich latach a niewykonanych do końca r.1984 kar grzywien było:

365 z r.1979

972 z r.1980

1666 z r.1981

3921 z r.1982.

Oznacza to tyle, że - mimo stosowania zastępczej kary pozbawienia wolności w miejsce niezapłaconej grzywny - coraz więcej skazanych nie było w stanie uiścić tej kary pieniężnej. Zwraca zwłaszcza uwagę zasadniczy wzrost liczby takich skazanych między r.1981 a 1982, choć wówczas jeszcze orzekano grzywny z reguły niższe niż obecnie. Łatwo można przewidzieć, że liczba przypadków, w których kary pieniężne nie będą mogły zostać wykonane będzie stale wzrastać, czyli że natężenie tej kary już w latach 1981-1982 przekroczyło próg sensownej ostrości karania. Zmienić tego nie mogą żadne wytyczne i naciski Ministerstwa Sprawiedliwości PRL na "skuteczniejsze wykonywanie grzywien", od dawna bowiem wiadomo, że "z pustego i Salomon nie naleje". Mimo to Ministerstwo Sprawiedliwości PRL stale podkreśla konieczność zaostrożenia kar pieniężnych, a według określonych tam obliczeń średnia grzywna

powinna w r.1984 wynoaić 47.361 zł/słownie: czterdzieścisiedemtyś-
cytrzystaosćdziesiątjedyn zł.!!!/. Obliczenie takie można uznać za
godne szaleńca, co nie zmienia faktu, że Ministerstwo podjęło działa-
nie zmierzające do wprowadzenia tych pomysłów w życie.

W r.1984 rozwinięto na niespotykaną skalę wnoszenie rewizji nad-
zwyczajnych na niekorzyść skazanych. Przypomnijmy, że rewizja nadzwy-
czajna może zostać wniesiona tylko przez Ministra Sprawiedliwości
PRL, Prokuratora Generalnego PRL albo przez I Prezesa Sądu Najwyższe-
go. Jest to środek pozwalający skorygować już prawomocne orzeczenia
sądu kończące postępowanie karne, a więc - jeśli na serio traktuje
się zaade stałości orzeczeń sądowych, niezwykle ważną dla stabilności
rozstrzygnięć prawnych - można sięgać po niego jedynie wyjątkowo,
w przypadkach ewidentnych i poważnych uchybień. Tak też traktowano
na ogół ten środek do r.1981. Natomiast w r.1984 Minister Sprawie-
dliwości PRL wniósł 407 rewizji nadzwyczajnych, tj. o 256 więcej niż
w r.1983. Z tych 407 rewizji aż 362 /89%/ złożono na niekorzyść o-
skarżonych, wnosząc o zasadnicze zaostrezenie orzeczonych kar, głów-
nie kary grzywny /137 rewizji/ oraz kary pozbawienia wolności /158
rewizji/. Nie koniec na tym. Z początkiem r.1985 zorganizowano akcję
pod nazwą "rewizja nadzwyczajna". Prezesi Sądów Wojewódzkich zostali
zobowiązani do przeprowadzenia specjalnych kontroli orzecznictwa pod-
ległych im sądów w celu wyłapania wyroków "zbyt łagodnych" i przygo-
towania wniosków o rewizje nadzwyczajne. Ponieważ podejrzewano, że
nie wszyscy prezesi przystąpią z równą gorliwością do wykonania tego
zadania, poszczególnym Sądom Wojewódzkim określono "normę", tzn. wy-
znaczono, ile z danego okręgu sądu wojewódzkiego ma wpłynąć do Mini-
stra Sprawiedliwości wniosków o rewizję nadzwyczajną. Wolno zatem o-
czekiwać, że liczba rewizji nadzwyczajnych wniesionych w r.1985 przez
Ministra Sprawiedliwości PRL będzie wręcz horrendalna. Dodajmy, że
niektórzy prezesi sądów wojewódzkich wykonują tę brudną robotę ze
szczególnym zapałem /np. Prezes Sądu Wojewódzkiego w Nowym Sączu/.
Być może zespół ten jest podtrzymywany i tym, że za opracowanie jed-
nego wniosku o rewizję nadzwyczajną prezes otrzymuje 600 zł.

Efektem tej operacji jest niespotykany dotąd nacisk na sędziów w
kierunku wymierzania kar już nie surowych, lecz drakońskich. Skorygo-
wanie wyroku w trybie rewizji nadzwyczajnej oznaczało do niedawna, że
sędzia orzekający popełnił grubą omyłkę, czyli było równoznaczne z
"płamą na sędziowskim honorze". To przekonanie wykorzystano obecnie,
choć nie wykluczone, że po pewnym czasie "świadomość sędziowska" ule-
gnie zmianie i korektura wyroku w trybie rewizji nadzwyczajnej będzie
powodem do chwały, oznaczając, że sędzia oparł się bezwzględny nacis-
skom na orzekanie drakońskich kar. Perfidia"operacji rewizja nadzwy-
czajna" polega jednak na tym, że wbito klin między kierownictwa są-
dów a sędziów orzekających, gdyż sędziowie poczuli się zagrożeni
przez swoich bezpośrednich zwierzchników, którzy poprzednio /choć o-
czywiście nie wszyscy/ starali się w pewnym stopniu osłaniać "awoich"
sędziów, chroniąc przy tej okazji ich niezawisłość. Nie ma potrzeby
ukrywać, że opisywane tu pociągnięcia rozpoczęły się z chwilą, gdy
Ministrem Sprawiedliwości PRL został Lech Domaradzki; poprzedni Mini-
ster Sprawiedliwości /prof.Zawadzki/ opierał się sięganiu po takie
metody zaostrezenia polityki kryminalnej.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że działalność Ministra Sprawie-
dliwości wpłynęła na działalność prokuratury. Do r.1985 prokuratorzy
ograniczali się do zaskarżania w trybie zwykłym niemal każdego wyro-
ku odbiegającego od ich wniosków, a Prokurator Generalny PRL nie za-
sypywał Sądu Najwyższego rewizjami nadzwyczajnymi. Z początkiem
bieżącego roku okazało się jednak, że Minister Sprawiedliwości zakłada
znacznie więcej rewizji nadzwyczajnych na niekorzyść oskarżonych niż
Prokurator Generalny, choć to wszak prokuratura jest organem, który
oskarża i domaga się wymierzenia kary uznawanej przez nią za słuszną.
Szefowie prokuratur wojewódzkich zostali więc zobowiązani do przed-

stawiania większej liczby wniosków o rewizję nadzwyczajną. Wygląda na to, że obecnie dojdzie do swoistej licytacji między Ministrem Sprawiedliwości a Prokuratorem Generalnym co do liczby złożonych na niekorzyść oskarżonych rewizji nadzwyczajnych, a sędziś pragnący kształtować wymiar kary w granicach rozsądku nie będzie miał żadnych widoków na to, by jego wyroki mogły się utrzymać.

Wszystko to jednak okazało się niewystarczające w oczach osób kształtujących w Polsce politykę karną. Dnia 10 maja br. zostały uchwalone, a od 1 lipca br. weszły w życie dwie ustawy: a/ o zmianie niektórych przepisów prawa karnego i prawa o wykroczeniach, b/ o szczególnej odpowiedzialności karnej /Dz.U. nr 23 poz.100 i 101/. Wymagają one odrębnego omówienia.

IV. USTAWY Z DNIA 10 MAJA 1985 R.

Mijałoby się z celem opisywanie wszelkich zmian, które wprowadzają wskazane ustawy, gdyż zmian tych jest zbyt wiele. Dla ich scharakteryzowania wystarczy wskazać podstawowych, zawartych w nich postanowień oraz dominujących w nich tendencji.

a/ zaostrzenie kar pieniężnych

Ustawa o zmianie niektórych przepisów prawa karnego podwyższa w sposób zasadniczy wysokość kary grzywny. Od dnia 1 lipca 1985 r. kara grzywny orzekana jako kara samoistna za przestępstwo wynosić może od 20.000 /dolny granica/ do 500.000 zł /górna granica/, a orzekana obok kary pozbawienia wolności od 20.000 do 5.000.000 zł. W przypadku przestępstw określonych w ustawach dodatkowych /nie w kodeksie karnym/ dolna granica grzywny może być znacznie wyższa i wynosić nawet 500.000 zł. Ustawa o szczególnej odpowiedzialności karnej podniosła drastycznie dolną granicę grzywny przy przestępstwach zagarnięcia mienia społecznego i spekulacji oraz niektórych innych. W tych przypadkach dolna granica grzywny może być nawet wyższa niż 500.000 zł, co powoduje, że postanowienia tej ustawy stanowią prawdziwe curosum.

Zasadniczemu zwiększeniu uległa tzw. "nawiązka", polegająca na nałożeniu na skazanego obowiązku wpłacenia określonej kwoty na wskazany przez sąd cel społeczny lub na rzecz określonej instytucji. Nawiązka może być orzekana obok kary grzywny albo innej kary i jest dodatkową dolegliwością związaną ze skazaniem. Dotąd orzekanie nawiązki było możliwe tylko w wyjątkowych, wskazanych przez ustawę przypadkach. Obecnie krąg tych przypadków wydatnie rozszerzono, a dodany art.59 a kk przewiduje obowiązkowe orzekanie nawiązki w wysokości od 5.000 do 50.000 zł. Wreszcie: poszerzono bsrdo poważnie zakres stosowania konfiskaty całości albo części mienia, która n.b. jest karą dodatkową, a więc orzekaną obok innych kar, m.in. obok kary grzywny.

Nie inaczej potraktowano zagadnienie kar pieniężnych przy wykroczeniach podnosząc dolny i górny próg orzekanej za nie grzywny - wynoszą one obecnie 1000 /dolny próg/ i 50.000 /górnny próg/.

b/ zaostrzenie wymiaru kary pozbawienia wolności

Ustawa o szczególnej odpowiedzialności karnej wprowadza w przypadku wielu przestępstw zakaz albo niemal równe z zakazem ograniczenie stosowania warunkowego zawieszania kary pozbawienia wolności. Odnosi się to zwłaszcza do przestępstw przeciwko mieniu społecznemu, ale również do wielu przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu /uszkodzenia ciała, bójka, pobicie itp./, spekulacyjnych i "łapówkarskich", jak też do przestępstw związanych nielegalną produkcją alkoholu oraz niektórych innych. Wobec sprawców kilku poważnych przestępstw /art. 168 §2 kk - gwałt kwalifikowany, art.201 i 202 §2 kk - zabory mienia społecznego znacznej wartości/, przy których sądy jednak znajdowały relatywnie często podstawy do stacowania nadzwyczajnego złagodzenia kary, wprowadzono warunki stosowania tej instytucji czyniące ją praktycznie martwą.

Za rozszerzenie zakresu stosowania kary pozbawienia wolności uznać również trzeba obowiązek stosowania aresztu już w toku śledztwa lub dochodzenia w sprawach o zbrodnie /przestępstwa zagrożone karą pozbawienia wolności nie niższą niż 3 lata/ oraz przeciwko recydywistom. Do takich samych rezultatów prowadzi niesłychane wprost rozszerzenie zakresu stosowania postępowania przyspieszonego, które sprzyja wymierzaniu kary pozbawienia wolności, gdyż w jego toku tymczasowe aresztowanie jest stosowane bardzo często.

c/ wprowadzenie nowych przestępstw i wykroczeń

Ustawa o szczególnej odpowiedzialności karnej wprowadza nowe przestępstwa związane z zagarnięciami mienia należącego do przewoźnika /mp. PKP, PKS/ albo powierzone przewoźnikowi będącemu jednostką gospodarki uspołecznionej. Przestępstwa ta, zagrożone bardzo wysokimi karami pozbawienia wolności, zostały przewidziane niewątpliwie w związku z licznymi kradzieżami na szkodę PKP, z którymi MO i SOK nie mogą sobie poradzić. Zmieniono i rozbudowano art.217 kk /tzw. przestępstwo niegospodarności/ i art.220 kk /niszczenie lub uszkodzenie urządzeń technicznych/ w ten sposób, że mają one obecnie istotnie szerszy zakres stosowania.

W kodeksie wykroczeń dodano art.67 a, którego treść warto przytoczyć in extenso: "Jeżeli w związku z wykroczeniem przeciwko porządkowi i spokojowi publicznemu zostały użyte uzbrojone oddziały lub pododdziały zwarte Milicji Obywatelskiej, można orzec wobec sprawcy nawiązkę w wysokości do 30.000 zł". Oznacza to, że obywatele domagający się poszanowania swoich praw mogą być nie tylko rozpędzeni i "spalowani", ale jeszcze mają zapłacić za użycie "zwartych oddziałów" skłujących do ich rozpędzenia i bicia. Wykroczeniem karanym aresztem lub grzywną stało się od 1 lipca 1985 r. naruszenie przepisów o godle, barwach i hymnie PRL /dodany art.52 §2 kw/. Noszenie emblematów o barwach narodowych lub śpiewanie hymnu narodowego może być więc karane. Wykroczeniem stało się też uiszczanie za skazanego grzywny albo ofiarowanie pieniędzy na ten cel, jak również umieszczenie w miejscu publicznym do tego nie przeznaczonym ogłoszenia, plakatu, ulotki, afiszu, apelu, napisu lub rysunku albo wystawianie ich na widok publiczny w innym miejscu bez zgody zarządzającego tym miejscem. W przypadku umieszczenia ulotki, afisza itd. w miejscu publicznym można "zarobić" oprócz aresztu, ograniczenia wolności lub grzywny dodatkowo "nawiązkę" w wysokości do 30.000 zł.

Rozszerzono zakres stosowania niektórych przepisów określających wykroczenia w ruchu drogowym i podwyższono kary za nie przewidziane.

Odnosić też trzeba, że za szkody wyrządzone przez skazanego w mieniu zakładu, w którym jest osadzony, orzeczenie o odszkodowaniu może wydać naczelnik zakładu, a skazanemu przysługują wtedy powództwo do sądu o uatalenie, że nsleżność nie istnieje albo powinna być niższa. Jest to nowy sposób represjonowania skazanych; łatwo się domyśleć, na jakie trudności napotkają skazani /zależny wszak od naczelnika/, który takie powództwo chciałby wnieść.

d/ wprowadzenie i rozszerzenie postępowań szczególnych

Ustawa o szczególnej odpowiedzialności wprowadza znów, uchylońe po wejściu w życie kodeksu karnego z 1969 r., postępowanie nakazowe. Oznacza to, że można skazać oskarżonego bez przeprowadzania rozprawy sądowej na karę ograniczenia wolności lub grzywnę, a także orzec nawiązkę. Możliwość taka istnieje w sprawach o przestępstwa rozpoznawane w trybie uproszczonym, co oznacza, że postępowanie nakazowe ma bardzo szeroki zasięg, gdyż zakres stosowania trybu uproszczonego został rozszerzony i obejmuje co najmniej połowę rozpoznawanych przez sądy spraw. Pewne ograniczenia dopuszczalności stosowania postępowania nakazowego nie mogą zmienić oceny, że zasięg stosowania tego trybu jest niespotykany, choć prawo do obrony oskarżonego ulega w nim daleko posuniętej redukcji.

Ustawa o szczególnej odpowiedzialności karnej w sposób niebywały rozszerza też stosowanie postępowania przespieszzonego, które dotąd było dopuszczalne tylko w sprawach chuligańskich i tylko na niektórych obszarach. Obecnie rozciągnięto je na cały kraj i przewidziano rozpoznawanie w nim spraw, które w praktyce uznawane są za skomplikowane i wymagające dokonywania starannych i niełatwych ustaleń. Chodzi tu m.in. o przestępstwa spekulacyjne, o zabory mienia wartości do 100.000 zł, o przestępstwa związane z nielegalną produkcją alkoholu i wiele innych. Jeśli pamiętać, że tryb ten jest dopuszczalny m.in. wtedy, gdy od chwili zatrzymania sprawcy na gorącym uczynku lub bezpośrednio potem do doprowadzenia go do sądu minęło nie więcej niż 48 godzin, że sąd rozpatruje sprawę jednoosobowo, a może orzec karę pozbawienia wolności do lat 3, to wiele wyroków zapadłych w takim postępowaniu przyjdzie traktować jako szyderstwo z wymiaru sprawiedliwości. W warunkach skrajnego pośpiechu, bez przeprowadzenia porządnego postępowania dowodowego, przy pozbawieniu oskarżonego - praktycznie rzecz biorąc - możliwości obrony, wydawanie rozstrzygnięć rażąco nietrafnych musi nastąpić na porządku dziennym.

Dla uniknięcia poążeń o takie przedstawienie omawianych ustaw, które zniekształca ich postanowienia, należy nadmienić, że wprowadzono w nich nieliczne korekty obowiązującego stanu prawnego, które ocenić trzeba jako korzystne. Wskazać tu można wprowadzenie do kodeksu karnego jako okoliczności wyjącającej bezprawność czynu tzw. "dopuszczalnego zryzka" /art. 23a kk/ oraz możliwości warunkowego przedterminowego zwolnienia osób skazanych za przestępstwa nieumyślne, sprawujących opiekę nad dzieckiem do lat 15 oraz kobiet w wieku 60 a mężczyzn w wieku 65 lat po odbyciu połowy kary /dotąd po 2/3 kary/. Zaznaczyć jednak wypada, że w r. 1981 przewidywano wprowadzenie możliwości warunkowego zwolnienia każdego skazanego po odbyciu połowy kary pozbawienia wolności. Co więcej, 2-3 rozważania korzystne nie mogą zmienić ogólnej oceny uataw z dnia 10 maja 1985 r. Zastanówić się bowiem wypada, co oznaczają i co niosą ze sobą te ustawy.

Przed wszystkim musi się rzucić w oczy absurdalne rozdęcie represji karnej. Nowowprowadzone rozmiary kar pieniężnych prowadzą w wielu przypadkach nie do ukarania, lecz do całkowitego zniszczenia podstaw bytu skazanego i jego rodziny, która ponosić będzie nieraz przez wiele lat konsekwencje skazania jednego z jej członków, a może się nigdy po tym "uderzeniu" nie podźwignąć. Sprowadzi to wiele rodzin osób skazanych do poziomu wegetacji, co z punktu widzenia konsekwencji społecznych takiego pociągnięcia, zwłaszcza wychowania dzieci, wyrządzi niepowetowane szkody. Wiele z takich kar nie będzie mogło zostać wykonanych, co jeszcze podkreśla absurdalność takiego nałożenia sankcji ekonomicznych.

To samo powiedzieć trzeba o nasileniu stosowania kar pozbawienia wolności. Nieuchronną konsekwencją wprowadzenia w życie wskazanych poprzednio rozwiązań jest napłynięcie do więzień olbrzymiej fali skazanych, z czym zresztą władze się liczą, gdyż nie ukrywają tego publicznie wypowiadający się przedstawiciele Ministerstwa Sprawiedliwości PRL. Oznacza to, że już dziś przepełnione zakłady karne zmieniają się w zatłoczone klatki, w których nawet o pozorach resocjalizacji nie będzie mowy. Dodajmy, że będą to klatki "produkujące" ludzi napełnionych agresją i poczuciem pokrzywdzenia, gdyż wielu z nich będzie słusznie uważało, że spotkała ich wielka niesprawiedliwość, a pobyt w zatłoczonych więzieniach wzmocni i tendencje do agresji i poczucie krzywdy. Aż strach pomyśleć co stanie się, gdy ten ładunek uczuć społecznie negatywnych zacznie wydoatawać się z więzień, a taka chwila musi nastąpić, gdyż akazani po odbyciu kary muszą zostać zwolnieni. Czeka nas zasadniczy wzrost przestępczości, jako że powrotność do przestępstwa będzie wśród tych skazanych duża. Tym sposobem tzw. "wymiar sprawiedliwości" znacznie produkować zwiększoną liczbę swoich klientów, powiększając i tak znaczne, związane z jego dzia-

łanością, straty społeczne.

Takimi metodami nie można, co oczywiste, przestępczości ograniczyć, gdyż takich efektów nie osiąga się stosując wobec przestępców ślepa represję. Wręcz przeciwnie - można tylko przestępczość zwiększyć, dodając do i tak już nie małej liczby ludzi społecznie nieprzystosowanych sporo ludzi wykołejonych bezsensownym pobylem w więzieniu. Propagandowe tuby, głośno brzące o potrzebie surowego karania przestępców, nie biorą tego zupełnie pod uwagę, gdyż myślenie nie jest zadaniem ludzi, którzy w nie dmą. Cały ten propagandowy tumult ma zresztą m.in. za zadanie ukryć fakt, że nowe ustawy zawierają wiele przepisów nastawionych nie na represjonowanie tych co biją i kradną, lecz na "stłamszanie" ludzi upominających się o swoje prawa. Omawiane ustawy dostarczają dalszych środków zastraszenia społeczeństwa, a niech nikogo nie myli to, że wprowadzają one w tym zakresie "jedynie" wykroczenia. Represja w trybie administracyjnym może być niezwykle dolegliwa, a stosowanie jej jest dużo łatwiejsze; jest więc ona bardzo sprawnym narzędziem w rękach władz.

Nowe ustawy są również wyrazem braku zaufania do sędziów. Akcji "rewizja nadzwyczajna" nie można ciągnąć w nieskończoność, a po przejściu tej "burzy" orzecznictwo wróciłoby po pewnym czasie do stosowania łagodniejszych niż obecnie kar. Akcja ta jest próbą przystosowania obecnej praktyki sądowej do stanu prawnego, który dopiero wprowadzą nowe ustawy, krępujące w bardzo poważnym stopniu swobodę orzekania sądów. Nota bene, zakazy stosowania warunkowego zawieszenia kary pozbawienia wolności wprowadzono za czasów stalinowskich, ale w znacznie węższym zakresie. Zostały one uchylone, gdyż przyczyniały wiele trudności i ocenione zostały jednoznacznie negatywnie. Ich ponowne wprowadzenie w znacznie szerszych rozmiarach jest widoczną oznaką tego, że "wraca nowe". Nałożenie na sędziego obowiązku orzekania kar drakońskich, nie pozostającej w żadnej proporcji do zawinienia, spowodować musi konflikt moralny u wszystkich myślących sędziów i spowoduje dalszy odpływ najlepszej kadry z wydziałów karnych. Trudności, które z tego muszą wyniknąć, planuje się rozwiązać przez powołanie "Akademii Prawniczej". Taki projekt jest obecnie "w rozważaniu" i utrzymywany jest w najszybszej tajemnicy. Ta "uczelnio-podobna" instytucja miałaby szkolić nowe ksdry /czytaj: "roboty zdolne do wykonywania każdego polecenia"/ dla wymiaru "sprawiedliwości" i w przyszłości doprowadzić do obsadzenia prokuratur i sądów ludźmi ślepo oddanymi "partii i socjalizmowi". Czy jest to pomysł realny, to inna sprawa, ale próba wprowadzenia go w życie może wyrządzić szkód co niemiara.

Dla uniknięcia nieporozumień dodać trzeba, że przeciwko omawianym ustawom jednogłośnie wypowiadały się środowiska naukowe, głosy oporu brzmiały wcale donośnie w sądach, a nawet prokuratorzy nie wykazali entuzjazmu. Negatywnie na temat projektów tych ustaw wypowiedziały się organy doradcze rządu, a posłów z podkomisji sejmowych dezinformowano, nie doręczając im materiałów, których autorzy wypowiadali się krytycznie na temat proponowanych rozwiązań. Uchwalenie tych ustaw jest curiosum, stanowiącym przyczynek do metod rządzenia i "woli pojednania" ekipy sprawującej władzę w Polsce.

Powiedzmy jednak wyraźnie, że choć Ustawy z dnia 10 maja 1985 r. zostały przez środowiska prawnicze przyjęte jak grom z jasnego nieba, nie narodziły się one w próżni. Jak widzieliśmy, są one kontynuacją rozwiązań prawnych wprowadzonych w okresie stanu wojennego, a ich źródła należy poszukiwać w traktowaniu środków karnych jako służebnych wobec władzy państwowej i politycznej, a nie wobec społeczeństwa. Jest to więc ta sama i niezmienna linia polityki karnej, która ciągnie się przez całe 40-lecie PRL /patrz: Bez Dekretu, nr 3, 1984/.

V. TROCĘ HISTORII I WSPÓŁCZESNOŚCI

W liście datowanym "9 wrzesień 1942" Minister Sprawiedliwości III Rzeszy, Georg Otto Thierack, pisał do przewodniczącego Trybunału Narodowego, osiawionego rzecznika nazistowskiego porządku prawnego, Roland Freislera, co następuje: "Sędzia musi się do tego przyzwyczać, że ma traktować pomysły i zamiary kierowniczych organów państwa jako sprawę najważniejszą, a los ludzki, który zależy od jego decyzji, jako sprawę drugoplanową". Dnia 20 maja 1985 r. podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości PRL, wiceminister Tadeusz Skóra, na zebraniu poświęconym omówieniu ustaw z dnia 10 maja 1985 r. powiedział do zgromadzonych sędziów: "Sędzia nie ma własnego prawa do karania, lecz ma karać według ustaw i aktualnych wymagań polityki karnej", a po chwili dodał: "Obecnie należy karać a nie wychowywać przestępców; nastąpiły takie czasy, że liczy się tylko odwet".

Myśli wyrażone przez G.O.Thierack'a i T.Skórę są ubrane w inną szatę słowną, lecz ich treść jest identyczna. Nie sędzę zresztą, aby T.Skóra wiedział, że wyraża nie nowe poglądy i kto je przed nim głosił; nie sędzę nawet, aby ten człowiek był zdolny zrozumieć sens własnych słów. T.Skóra wystąpił w roli megafonu, przez który ogłoszone zostały "pomysły i zamiary kierowniczych organów państwa", a więc jako narzędzie kierowane ich wolą, choć wkłada on wiele gorliwości w to, by być narzędziem sprawnym i posłusznym. Pełni w PRL tę samą rolę, co w III Rzeszy jego duchowni krewniacy Thierack i Freisler, lecz nie należy jej przeceniać. Podobnie jak ich, na zajmowane stanowisko wyniósł go i postawił przed nim zadanie do wypełnienia totalitarny system rządzenia, który - obojętne czy faszystowski czy komunistyczny - zdany jest na stałe i nasilające się represjonowanie społeczeństwa, nad którym zapanował. Wszystkie państwa totalitarne, niezależnie od tego, w jakim miejscu świata i w jakim czasie powstały, czyniły to samo nie dlatego, że składały się z okrutników, lecz dlatego, że są skazane na takie postępowanie wobec własnych społeczeństw. Przyczyna tego jest prosta: albo większość rządzących akceptuje rządzących, co sprawia, że możliwa jest współpraca między władzą a społeczeństwem, albo większość rządzących odrzuca rządzących i wtedy jedyną drogą utrzymania astatud quo jest trzymanie społeczeństwa w karbach represji. A że represje wzmagają opór trzeba je nasilać, gdyż inaczej rządzący utraciliby władzę. Warto jednak zdać sobie sprawę i z tego, że nasilenie represji jest miarą nasilenia konfliktu między warstwą rządzącą a społeczeństwem: im silniejszy konflikt, tym silniejsza represja. Siła tego konfliktu jest jednak również miarą słabości rządzących, gdyż ich siły nie mierzy się liczbą łuf wycelowanych w społeczeństwo, lecz stopniem ich akceptacji przez rządzących i płynącą stąd gotowością do wykonywania zarządzeń władz i stania w ich obronie. Tak więc nasilenie represji stanowi miarę słabości władzy i tego nie zmienia żadne pokrzykiwanie o jej jedności z narodem.

Rzecz jasna, warstwa rządząca nigdy nie przyznaje, że przyczyną nasilenia represji jest jej słabość wynikająca z konfliktu ze społeczeństwem. Władza totalitarna tworzy zawsze dymną zasłonę, powołując się na "zagrożenie ze strony przestępców i potrzebę ich zwalczania". Problem jednak w tym, iż konflikt między warstwą rządzącą a społeczeństwem oraz nasilająca się represja wpływają negatywnie na społeczeństwo. Rwą się wówczas więzi społeczne, instytucje społeczne działają źle, zamierają korzystne społecznie inicjatywy, pojawia się skłonność do marazmu i "emigracji wewnętrznej", pogarsza się stan finansów państwa obciążonych nadmiernie rozrosłymi kosztami utrzymywania olbrzymiego aparatu przymusu, z reguły obniżają się efekty gospodarcze. Taka sytuacja stanowi znakomitą pozycję dla rozwoju zjawisk par excellence patologicznych, a więc alkoholizmu, /współcześnie/ narkomanii, a także przestępczości. Nie jest zatem wykluczone, że w najbliższych latach przestępczość w Polsce wzrośnie, a są pewne wska-

zówki by mniemać, że już rok 1984 przyniósł tu, jeszcze niezbyt znaczną, zmianę na gorsze. Odwrócić tego procesu nie można sięgając po środki represyjne, które - jak wskazywano - mogą tylko pogorszyć ten stan. Wołając o złagodzenie represji karnej nie staje się zatem po stronie przestępców /ulubiony argument zwolenników polityki "grubej pałki": kogo tu bronić?/, lecz ostrzega się przed szaleństwem prowadzącym w ślepy zaułek i wzywa się do poszanowania podstawowej zasady, bez której nie ma prawdziwego wymiaru sprawiedliwości: adekwatności kary do zawinienia.

Tych wszystkich "subtelności" nie jest oczywiście w stanie dostrzec T. Skóra, który w czasie wskazanego poprzednio zebrania m. in. stwierdził: "Dewizą sądów mają być obecnie trzy S: szybkość, sprawność, surowość". Na "sprawiedliwość" w tym zestawie zabrakło miejsca. Ludzki los, który zależy od decyzji sędziego, ma nie interesować sędziów orzekających A.D. 1985 w sądach karnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

HUBERT WRÓMSKI

DOKUMENTY REPRESJI

WYKAZ REPRESJONOWANYCH PRACOWNIKÓW HiL(cd)

P-64 /WALCOWNIA DROBNA I DRUTU/ HiL

1. MAZUR Kazimierz - ur. 7.09.1932 Kraków, spawacz 22 323, żonaty, 2 dzieci, przesłuchiwany, zam. os. Na Lotnisku 8/95
2. BRZEZIŃSKI Roman - ur. 25.10.1948 r. Kraków, zam. os. Nad Sudołem 12/16, ślusarz 93 236, żonaty, 2 dzieci, rewizja, przesłuchiwany
3. WIECZOREK Bogusław - ur. 23.11.1933 r. Zielone, zsm. Kraków, os. Kazimierzowskie 32/32, operator urządzeń ciągu walcowniczego 28 697, żonaty, 2 dzieci, przesłuchiwany, prześladowania rodziny
4. GOLONEK Maciej - ur. 19.01.1951 r. Kczecin, zam. Kraków-Nowa Huta os. Bohaterów Września 64/5, operator urządzeń 63 360, żonaty, 1 dziecko, wzywany i przesłuchiwany
5. KOZA Longin - ur. 1.02.1930 r. Rzepiennik, zam. os. Na Wzgórzach 64/5, ślusarz 17 059, emeryt od 31.08.1982 r., żonaty, 3 dzieci, działacz, przesłuchiwany
6. KOZA Mieczysław - ur. 17.07.1941 r. Rzepiennik, zam. Kraków, os. Piastów 2/50, ślusarz 19 742, żonaty, 1 dziecko, przesłuchiwany
7. MORAWSKI Jan - ur. 31.05.1942 r. Skała, zsm. Kraków, ul. Majora 3/16 ślusarz 24 115, żonaty, 2 dzieci, działacz, przesłuchiwany
8. HUDASZEK Andrzej - ur. 1.07.1943 r. Kraków, zam. os. Strusia 6/126, żonaty, 2 dzieci, członek KRH, rewizja, przesłuchiwany, internowany
9. OSTAŁOWSKI Jerzy - ur. 14.04.1944 r. Sosnowiec, operator urządzeń walcowniczych 25 974, żonaty, 1 dziecko. Członek KRH, wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ "S", internowany w Uhercach, przesłuchania, rewizja, zatrzymanie na 48 godz.
10. MISIAK Zdzisław - ur. 26.05.1933 r. Łękińsko, zam. N. Huta Centrum A

- 8/46, elektryk 18 004, żonaty, 3 dzieci, przesłuchiwany
11. TUZNIK Edward - ur.29.05.1943 r. Kraków, zam.os.Kalinowe 20/46, żonaty, członek Komisji Zakładowej NSZZ "S", przesłuchiwanie, rewizje
 12. JAWORSKI Zdzisław - ur.4.09.1953 r. Ukta, zam.ul.Srodkowa 14/3, ślusarz 78 237, żonaty. Zwolniony 31.03.1984, członek KRH i Komisji Zakładowej, przesłuchania, rewizje, obecnie nie pracuje w HiL.
 13. URBANCZYK Mieczysław - ur.11.12.1940 Skomielna Biała, zam.os.Wandy 11/17, elektryk 26 368, żonaty, 2 dzieci, członek Komisji Zakładowej NSZZ "S", przesłuchiwany
 14. ROZUM Władysław - ur.23.02.1940 r. Bytomsko, zam.os.Pisistów 1/9, I walcownik 37 727, żonaty, 1 dziecko, przewodniczący Komisji Zmianowej NSZZ "S", przesłuchiwany
 15. BRANICKI Stanisław - ur.14.11.1941 r. Dziekanowice, zam.os.Bohaterów Września 59/41, I walcownik 12 169, żonaty, 1 dziecko, przesłuchiwany, rewizje
 16. PYTKO Tadeusz - ur.28.10.1943 Borynowo gm.Dąbrowa Tarnowska, zam.os.Niepodległości 6/15, operator urządzeń walc. 38 489, żonaty, 1 dziecko, przesłuchania, rewizje
 17. GOŁĄB Jan - ur.25.05.1952 r. Żegocina gm.Bochnia, zam. os. Bohaterów Września 61/35, walcownik, brygadzysta 55 524, żonaty, przesłuchania, rewizje
 18. URBANIAK Franciszek - ur.3.02.1938 Rejmontówka, zam.os.Szklane Domy 1/262, I walcownik 43 985, żonaty, 2 dzieci, przesłuchiwany
 19. SZWACZKA Marian - ur.2.09.1941 r. Moczydło, zsm.os.Kazimierzowski 18/276, I walcownik 47 676, żonaty, 1 dziecko, przesłuchiwany
 20. BADŁO Alojzy - ur. 1.06.1940 Rybie gm.Limanowa, zam.os.Złotego Wieku 69/50, operator suwnicy 27 583, żonaty 3 dzieci, przesłuchiwany, rewizje

P-60 WALCOWNIA ZGNIATACZ

1. BIELECKI Zbigniew - N.Huta, os.Kalinowe 21/130, żonaty, suwnicowy, internowany w IV WOS Czerwony Bór, przetrzymywany 48 godz. przesłuchania oraz rewizje, działacz z okresu legalnego
2. SZCZYPCZYŃSKI Tadeusz - N.Huta, os.Na Wzgórzach 28/65, żonaty, 2 dzieci, suwnicowy, działacz z okresu legalnego, długoletni pracownik. Internowany w IV WOS Czerwony Bór, przesłuchiwany, bity, rewizje, szykanowany przez SB
3. JĘDRAS Stanisław - N.Huta, os.Jagiellońskie 28/11, żonaty, 2 dzieci, przewodniczący zm.C, przetrzymywany 48 godz., przesłuchiwany, rewizje - obecnie nie pracuje w HiL.
4. RUSEK Eugeniusz - N.Huta, os.Strusia 7/317, żonaty, 3 dzieci, elektryk, długoletni pracownik, działacz - rewizje, przesłuchania
5. GALAS Mieczysław - N.Huta os.Dąbrowszczaków, żonaty, 2 dzieci, wi-ceprzewodniczący NSZZ "S", długoletni pracownik, elektryk, żonaty, dzieci - przesłuchania, rewizje, przetrzymywany 48 godz.
6. STEC Antoni - zabrany z manifestacji, ukarany kolegium oraz zatrzymany na 48 godz.
7. GADEK Józef - przesłuchiwany
8. JANUSZ Władysław - N.Huta, os.Niepodległości - działacz NSZZ "S" w Komisji Wydziałowej, operator, długoletni pracow-

9. PETLIC Edward - nik, żonaty, 2 dzieci - regularne przesłuchania co miesiąc do maja 83 r., zatrzymanie na 48 godz. założyciel NSZZ "S" w Hucie, członek zarządu KRH, długoletni pracownik, obecnie emeryt, żonaty, 2 dzieci, zam. Os.Wandy - internowany, przesłuchiwany
10. SAWA Józef - przew. NSZZ "S" na Wydziale, długoletni pracownik, obecnie emeryt, żonaty, 1 dziecko, zam.os.Górali 9/46 - przesłuchiwany, przetrzymywany, internowany
11. FLORCZYK Maciej - N.Huta os.Bohaterów Wrześnis 64/65, działacz NSZZ "S", długoletni pracownik, żonaty, 1 dziecko - rewizje, przesłuchiwany, przetrzymywany
12. GAŁDYN Zdzisław - działacz NSZZ "S", długoletni pracownik, mistrz pieców, żonaty, 1 dziecko - za strajk 13.12.81 r. przeniesiony na inną zmianę, przesłuchiwany, przetrzymywany, pobity przez ZOMO na strajku 16.12.81
13. HANDZLIK Stanisław - założyciel NSZZ "S" w Hucie, wiceprzewodniczący KRH, ukrywający się po strajku 13.12.81, żonaty, 2 dzieci operator, długoletni pracownik - wyrok 4 lata za organizację strajku w HiL 13.12.81, rewizje, przesłuchania, szantażowanie żony i dzieci w okresie ukrywania się. Nie przyjęty do pracy w HiL po odsiedzeniu wyroku. Zam.os.Bohaterów Września 35/62
14. FILOSEK Stanisław - N.Huta os.1000-lecia 8/72, żonaty 2 dzieci, energetyk, długoletni pracownik, przewodniczący NSZZ "S" na wydziale, internowany, obniżona stawka zaszeregowania
15. KRAWCZYK Kazimierz - os.Dąbrowszczków 22/28, często przesłuchiwany przez SB
16. KISŁOWSKI Ryszard - os.Na Skarpie 18/19 - kolegium 20.000 zł
17. NOWAK Edward - inż elektryk, wyrok 3,5 roku za organizowane strajku, obecnie praca w inwestycjach, niska stawka /porzucenie pracy/, 3 maja 1985 zatrzymany pod zarzutem organizowania manifestacji, kolegium 3 miesiące aresztu.
18. ROGOZIK Leszek - os.Strusia 7/276 - internowany VI WOS Czerwony Bór
19. SIKORSKI Jacek - os.Handlowe 12/11 - energetyk, nie pracuje, sankcje za kolportaż
20. SZEWCZUK Czesław - N.Huta, Centrum B 11/44, żonaty, 1 dziecko, smarownik - niska stawka zaszeregowania, internowany, często zatrzymywany przez SB
21. SWACHTA Jan - Pcim 65 - zatrzymywany i przesłuchiwany
22. WILK Jan - N.Huta os.Piastów 52/3 - przeniesiony z W-17 na ZMO, zdjęty z brygadzysty od 12.83 r. na P-60

Bóg nad nami a my pod zwierznością

Widmo równości krąży po Polsce. Przez ludzi niedouczone nazywane bywa najczęściej demokracją, lub solidarnością. Hołdują mu bowiem najczęściej ludzie niedoczeni - exemplum: babcię kolejkowe, młodzi pracownicy nauki, kombatantki niedawnych walk, które raz przенiosły pięć "Hutników" pod koszulą i większość wierzących w partię, lub w Kościół. Domagają się równości w przydziale szynki, doktoratów, palm męczeńskich, miejsc w środkowej nawie i w Komitecie Centralnym. Chcą nawet, by wszyscy myśleli "po równo", więc główny ich wróg to są indywidualiści, którzy wolą nie jeść szynki lub jeść dużo, napisać coś genialnego dla pieniędzy, lub nie pisać a siać rzepę, nie nosić zgrzebnych koszul na "Hutniku", lub nosić "Aneks" w torebce z krokodyla. A nade wszystkich, którzy nie chcą zasiadać w nawie, w Komitecie i w ogóle w żadnym rządzie pod numerem np. trzy miliony dwieście pięćdziesiąt sześć.

"Chcąc dać równe szanse naturze każdego, trzeba pozwolić, by różne osoby prowadziły różny tryb życia. /.../ a to co między indywidualnością, jest zawsze despotyzmem, bez względu na to, pod jaką występuje nazwą..." - John Stuart Mill - O Wolności.

Fanatyki równości nie zdają sobie sprawy, że odwołują się nieświadomie do siły wyższej, która pokroi, popaczkuje i da im "po równo": dwadzieścia deko szynki, doktoraty, palmy męczeńskie itp., i że ta wyższa siła, to będzie despotyczna władza.

"Naszych współczesnych ustawicznie zderają dwie sprzeczne namiętności: potrzeba, żeby ktoś prowadził ich za rękę, i pragnienie zachowania wolności. /.../ Marzą więc o jednej opiekuńczej i wszechstronnej władzy, którą wybieraliby jednak wszyscy obywatele. Kojarzą centralizację z suwerennością ludu. To im przynosi pewną ulgę". - Alexis de Tocqueville - O demokracji w Ameryce.

Despotyczna władza może także dać w łeb. "Po równo".

"Wydaje się, że gdyby w dzisiejszych demokratycznych społeczeństwach zapanował despotyzm, miałyby on odmienne oblicze. Byłby bardziej wszechobecny i łagodniejszy, degradowałby człowieka nie dręcząc go zbyt" - Alexis de Tocqueville - O demokracji w Ameryce.

Ludzie są równi wobec Boga. TAK.

Ludzie są równi wobec Prawa. TAK.

Ludzie są równi wobec Natury. TAK.

I to by było na tyle.

A poza tym niech wreszcie do cholery przestaną być głęboko przekonani o tym, że szewc jest równy biskupowi, kanalarz primabalerinie, profesor panience, a panienka babie, która przyszła do lekarza. Kto nam i kiedy powiedział, że sprawiedliwie, to znaczy "po równo"? I że to będzie demokracja. Że demokracja to znaczy każdy z każdym, każdy o wszystkim, przystępny samorządnie i niezależnie do produkcji chałupniczej układów scalonych i będziemy mieli drugą Japonię, ale demokrytyczną.

A może by tak cokolwiek dać sobą porządzić - dla wspólnego dobra? Kto mógłby to zrobić? Propozycje są różne.

"W zespole bowiem członków jest jeden, który porusza wszystko, jest nim mianowicie serce; s w mechanizmie duszy przewodniczy przede wszystkim jedna władza, mianowicie rozum. Również pszczoły mają jedną królową, w całym zaś świecie jest jeden Bóg - sprawca wszystkiego i rządcą. I słusznie /.../ zachodzi konieczność, by społecznością ludzką rządziła jednostka". - św. Tomasz z Akwinu - Summa Theologica.

Lub:

"Ktokolwiek odmówi posłuszeństwa woli powszechnej, będzie do niej zmuszony przez całe ciało; co oznacza tylko tyle, że zmusi się go, aby był wolnym". - Jean Jacques Rousseau - Umowa społeczna.

Lub:

"Wolność, to prawo czynienia wszystkiego tego, na co ustawy pozwalają". - Charles Louis Montesquieu - O duchu praw.

Ale na razie:

Kolporter mi mówi, że nie rozkolportuje, bo mu się nie podoba X piszący w piśmie, który jest dziwkarz, a jak pożyczyc pół litra to nie oddaje.

Sekretarka mi mówi, że nie zaniesie pisma do rektora, bo rektor tu zazwyczaj przychodzi, to sobie weźmie po drodze.

Członek demokratycznej organizacji mówi mi, że nie będzie głosował na demokrację, bo nie wie, czy ordynacja wyborcza jest demokratyczna, nad czym należałoby jeszcze przeprowadzić demokratyczne głosowanie.

A mnie serce i rozum mówi, że to się musi źle skończyć, jak się i skończyło /w Bogu nadzieja, że nie ostatecznie/ 13 grudnia.

Żadna rewolucja na świecie nie zwyciężyła dzięki równości. Najgodniejsze osiągnięcia myśli ludzkiej wprowadziła dyktatura. Cromwell - on właśnie dał patronat myśli Locke'a - dał Anglii liberalną monarchię. Napoleon w ogniu wojen umocnił wolność, wywalczoną przez rewolucję francuską, od której nie udało się już uciec reakcji po Kongresie Wiedeńskim.

Mechanizm jest łatwy do uchwycenia. Rewolucja przynosi wolność, lub chociaż jej fantom, chociaż ideę. Wolność ludzie wykorzystują, by zafundować sobie równość.

"Społeczeństwa demokratyczne /.../ dla równości żywią nienasyconą, trwałą i nieprzewycięzoną namiętność. Pragną równości w stanie wolności, a jeżeli nie mogą tego osiągnąć, to pragną jej także w zniewoleniu. Będą znosiły nędzę, jarzmo niewoli, barbarzyństwo, ale nie ścierpią aryatokracji!" - Alexis de Tocqueville - O demokracji w Ameryce.

Kończy się to dyktaturą. Taka była i historia polskiej "Solidarności". Z tym, że nie doczekaliśmy się Napoleona, czy Cromwella i proponuję, by w dalszym ciągu na tego typu wydarzenie nie liczyć, chociażby z przyczyn określonych nieprecyzyjnie i niezbyt naukowo jako geopolityczne i związane z charakterem narodowym, bowiem:

"Nie trzeba wiele uczciwości, aby rząd monarchiczny lub też despotyczny utrzymał się i trwał. Siła praw w jednym, wciąż wzniesione ramię władcy w drugim miarkują i trzymają w karbach wszystko. Ale w państwie ludowym trzeba jednej sprężyny więcej, a jest nią CNOTA". - Charles Louis Montesquieu - O duchu praw.

A kto ma "cnotę"? Niestety - nie wszyscy "po równo".

Bowiem:

"Do najpotrzebniejszych rzeczy należy zważanie od początku na to, by najlepsi mogli mieć wolny czas, a nie trudzili się żadną poniżającą pracą, i to nie tylko jako urzędnicy, ale też jako ludzie prywatni". - Arystoteles - Polityka.

czyli:

"Równość obywateli przyniosła ze sobą wyłączenie od niej niewolników" - Georg Fridrich Hegel - Filozofia dziejów.

Jest to ślepy zaulek politycznej i społecznej równości, nikt w sposób zadowalający z niego od czasów greckich nie wybrnął. Nie łudźmy się, że będziemy pierwsi.

BERBERYS NIEUTULONY

Komu potrzebna prawda ?

Kłamstwo to prawda przystosowana do czyichś potrzeb.

Przed oczami drugiego powojennego pokolenia rozgrywa się widowisko wskrzeszania pamięci o "czasach pogardy" - nezywanych także okresem "zaciemnienia historii". Odżywa pamięć o tym, co skrywała przed resztą świata zawieszona nad Europą swastyka. Odżywa - ale w jakże odmiennej postaci! W ciągu czterdziestu lat dokonała się metamorfoza, magiczna transmigracja, która zamieniła miejsca i role głównych bohaterów tamtych czasów: oprawców i ofiar. Okazuje się, że to nie hitlerowscy oprawcy dokonali największej w dziejach zbrodni. Aby naprawić to posądzenie, składa się wieńce na ich grobach wskazując jednocześnie, kto jest właściwym winowajcą. Powołuje się świadków, przytacza niezbitę dowody: że obozy zagłady organizowali hitlerowcy w Polsce, ponieważ tu mogli liczyć na sprzyjający klimat i pomoc, że Polacy jako katolicy z natury rzeczy są antysemitami. Pojawiały się nawet poglądy, że sam pomysł wymordowania Żydów nie mógł się zrodzić w kraju tak cywilizowanym.

Większości ludzi dziś żyjących nie było jeszcze wówczas ma świecie, ci którzy żyli i przeżyli nie wszystko wiedzieli, o wielu rzeczach nie dowiedzieli się nigdy. Ci, którzy znali tajemnicę, robili wszystko, aby zatopić ją dostatecznie głęboko, by nigdy nie wypłynęła na powierzchnię. Potrzeba więc kilku elementarnych wyjaśnień.

Dlaczego hitlerowcy obozy zagłady lokalizowali na ziemiach polskich? Odpowiedź, że tu właśnie żyły milionowe masy ludzi przeznaczonych do likwidacji nie wszystkich na Zachodzie przekonuje. Istotnie, ten "praktyczny" wzgląd w kalkulacji hitlerowskich ludobójców był ważny ale bynajmniej nie jedyny.

Masową akcję eksterminacyjną przygotowywano z niemiecką systematycznością. Rozpoczęto - w początkach 1942 roku - od przeszkolenia kadry mającej kierować całą akcją. Wytyczne były następujące: 1/ akcja ma być otoczona ścisłą tajemnicą. Szczególnie ważne, aby wiadomości nie przedostawały się na teren Niemiec, a zwłaszcza dalej na zachód. 2/ Przed wywozonymi do miejsc zagłady tać do ostatniej chwili cel ich wywózki, zapewniać, że jadą do pracy. 3/ Na terenie Rzeszy pokazywać filmy przedstawiające "normalne" życie w gettach. 4/ Stosować propagandowe środki dla zapewnienia spokoju w gettach, w większych miejscowościach ogłosić możliwość wyjazdu Żydów przez kraje neutralne na Zachód - po opłaceniu kosztów w walutach lub złotych. - Instrukcje zawierały także wiele szczegółowych wskazań wykonawczych.

Wszystkie te wskazówki były ściśle przestrzegane. Wywozonymi zapewniano, że jadą do prac rolnych na wschodzie, a nawet kilkanaście dni później przychodzili od nich listy, że są już na miejscu, pracują i czują się dobrze. Kiedy ich znajomi to czytali, autorzy listów już oczywiście nie żyli. W Niemczech, w czasie największego nasilenia akcji zagłady, pokazywano filmy według instrukcji. Polski wywiad podziemny stwierdził przejazd przez Warszawę specjalnego pociągu, którym w dobrych warunkach rodziny żydowskie wyjeżdżały rzekomo do kraju neutralnego - stwierdzono, że wiele pochodziło z Holandii. Oczywiście, pociąg skierowano wprost do Treblinki. - Przytoczone fakty dostatecznie wyjaśniają, dlaczego głównych miejsc zagłady nie lokalizowano bliżej Berlina czy Paryża.

Czy taktyka zastosowana przez hitlerowców była skuteczna? Dla opinii zachodniej - wystarczająco. Ludność polska, masowo rozstrzeliwana i zamykana w obozach, miała dość bezpośrednich świadectw o poczynaniach i planach hitlerowskiej Rzeszy, wiedziano, że następnymi po

Żydach będą Polacy. Natomiast inaczej reagowano na Zachodzie. Polskie władze podziemne przynajmniej od połowy 1942 roku przesyłały do Londynu alarmujące wieści, że szczegółami o eksterminacji ludności żydowskiej. Nikt na Zachodzie, ani rządy ani sztaby, alarmom nie dawały wiary, traktowano je jako histerię ludzi, którzy sami czuli się zagrożeni. Uważano za niemożliwe, aby naród o tak wysokiej kulturze mógł robić coś podobnego. Raporty chowano pod sukno, tajono je przed opinią krajów zachodnich.

Toteż kiedy armie antyhitlerowskiej koalicji zaczęły wyzwalać zwłaszcza polskie tereny, ujawniona prawda była oszupiającym zaskoczeniem. Prawda okazała się zbyt nieprawdopodobna - a dla tych, którzy nie widzieli jej na własne oczy, taką pozostała. Stworzyło to w opinii zachodniej szczególnie klimat łączący wiarę z niedowierzaniem. Psychologicznie zrozumiałe - są potworności, przed którymi broni się ludzka świadomość. Choć przecież najstraszniejsze potworności nie zostały światu ukazane. Ujawniono to, co można było obejrzeć i sfotografować. Nie ma niczego do fotografowania po "fabrykach śmierci". Rozrzuczone popioły milionów ofiar deszcze rozmyły - czego zresztą mogą dowiesć popioły?

O potworności, jaką była Treblinka, miejsce zagłady przeszło półtora miliona Żydów, głównie polskich ale także z wielu krajów zachodnich, społeczeństwo polskie znało sporo szczegółów. "Fabryka śmierci" nie była obozem, nikogo tu nie trzymano, transporty kierowano wprost do komór gazowych. Jedyną siłą roboczą była grupa Żydów wydzielonych z transportu - opróżniali komory gazowe, układali trupy w stopy do spalania, zakopywali prochy. Używani do tej straszliwej posługi wiedzieli, że niebawem przyjdzie ich kolej - zgromadzili trochę broni i podnieśli bunt. Zastrzelili SS-mańskie strażę, podpaliли baraki i rzucili się do ucieczki. Większość zginęła. Niewielu ocalałych opowiedziało szczegóły o tym nieprawdopodobnym, co wymyśliła europejska cywilizacja.

Niewiarygodność tworzyła sprzyjającą glebę dla tych, którzy chcieli odwrócić uwagę od siebie, skierować ją na inny tor. W tym klimacie możliwe było ukazywanie się książek dowodzących, że obozy nawet tak znane jak Oświęcim /Auschwitz/ są wymysłem antyniemieckiej /komunistycznej/ propagandy. Inspiratorzy tego typu książek, potem i filmów, zaczęli kierować palce w stronę właściwych winowajców - Polaków. Wiadomo, Polacy są winni wszystkiemu. To oni przecież rozpoczęli drugą wojnę światową atakiem wojskowego oddziału na radiostację w Gliwicach /znana jest historia prowokacji hitlerowców odzianych w polskie mundury w przeddzień ataku na Polskę - gdyby hitlerowcy przewidzieli swoją klęskę, zapewne obsługę obozów, a może Gestapo i dywizje SS przebraliby w polskie mundury - nie byłoby wówczas wątpliwości, czyje to dzieło/. Motywy i źródła antypolskiej propagandy nie były zagadkowe. W Niemczech utrata ziem na wschód od Odry, polscy świadkowie na odbywających się procesach, krzywdy ludności wysiedlonej zza Odry, które przedstawiano jako równoważne tym, jakie wyrządzono Polakom i rozpisywano się o "okrucieństwie" Polaków. Za granicą szczególnie aktywny ośrodek antypolskiej propagandy umieścił się w USA. Po kapitulacji wiele tysięcy gestapowców, SS-manów, dygnitarzy hitlerowskich uciekło byle dalej od miejsca zbrodni. Bardziej odpowiedzialni i poszukiwani schronili się w Ameryce Południowej. Inni chcący usunąć się z przed oczu europejskich świadków osiedlali się w Stanach Zjednoczonych, tworząc tam wpływowe lobby działające zza kulis. Oni też stali się głównym źródłem wiadomości o tym, co działo się w Europie w czasie wojny. Z tych kół wychodziły sugestie o udziale Polaków w likwidacji Żydów. Hitlerowsko-SS-mańskie lobby stosowało różne metody dla oskarżania i poniżania Polaków - służyły temu broszury o ich cechach narodowych, antysemityzmie, czy głośne swego czasu "Polish jokes". Oni także wpliwali na nastroje wśród Amerykanów żydowskiego pochodzenia słabo zorientowanych, co się w tej Europie działo.

Cel tych zabiegów był jasny - każda plama rzucona na Polaków to jedna plama mniej na hitlerowskich mordercach, a wskazanie współwiny to droga do własnego uniewinnienia.

A taki właśnie uniewinniający klimat stał się potrzebny dla integracji, zacieśnienia więzów wewnątrz wojskowego bloku, aby dawne echa nie mąciły braterstwa broni.

Aby argumentację pogłębić sięgnięto także do głębszych korzeni. Skoro Kościół Katolicki jest antysemitki z powodu zdarzeń, jakie rozegrały się swego czasu na Golgocie - i skoro Polacy w całej swej historii byli wierni katolicyzmowi - dedukcyjnie, bez potrzeby odwoływania się do historycznych faktów, wynika stąd, że Polacy zawsze byli większymi antysemitami od Niemców, którzy w większości byli protestantami. Z tego, zgodnie z prawami logiki, wynika jak było w czasie okupacji w Polsce, kto mógł byrdziej zawinąć: "mniejszy" czy "większy" antysemita, tzn. Polacy. Quod erat demonstrandum.

Takie logiczne rozumowanie zaserwował w swym wywiadzie twórca filmu o roli Polaków, nie cofając się nawet przed takim argumentem: dlaczego papież nie potępił mordu dokonywanego na Żydach? Ponieważ wiedział, że Polacy Żydów nie lubią. Pomyliło mu się, że to nie wtedy rządził tam Karol Wojtyła a ówczesna Europa dobrze wiedziała o dość silnych wpływach niemieckich w Watykanie.

Nie tu miejsce na dyskusje o stosunku Kościoła do Żydów. Ale wszystkim, którzy hodują swoją ignorancję, trzeba przypomnieć, że Żydzii wyganiani z całej zachodniej Europy /z przyczyn religijnych ale także ekonomicznych/ od średniowiecza znajdowali schronienie w Polsce i w najmniejszej mierze nie przeszkadzał w tym jej katolicyzm. Była bowiem Polska najbardziej liberalnym i tolerancyjnym krajem w Europie aż do końca XVIII wieku - zdaniem historyków właśnie liberalizm i tolerancja w sąsiedztwie despotycznych państw stały się przyczyną jej zguby. Antysemityzm przynieśli tu zaborcy - np. carska "Ochraha" organizowała żydowskie pogromy dla przeciwdziałania akcjom niepodległościowym i rewolucyjnym.

Ale podkreślić trzeba jeszcze coś bardziej istotnego a przemilczanego. W historii religijne motywy często podsycały antysemickie nastroje - zwłaszcza w krajach mniej tolerancyjnych niż Polska. Ale zadanie całkowitej eksterminacji ludności żydowskiej postawił przed sobą hitleryzm - ideologia programowo antykatolicka i w ogóle antyreligijna, nawiązująca do pragermańskiego państwa - i tego bezprzekładnego w dziejach ludobójstwa w granicach swego zasięgu dokonał. Dokonała przez hitleryzm zbrodnia wykracza poza wszystkie pojęcia i kryteria ukształtowane przez cywilizację. To już nie "antysemityzm" ani "rasizm" - te bowiem oznaczały wrogość, dyskryminację, prześladowania, uznawanie rasowej niższości - ale nigdy antysemityzm nie postulował wymordowania Żydów, ani rasizm Murzynów. To wniośł do pojęć cywilizowanego świata dopiero hitleryzm. Stosowanie do tego starych pojęć jest krzykoczącą nieadekwatną. Nazwanie wielomilionowego mordu "antysemityzmem" jest /o tragiczna ironio!/ usprawiedliwianiem, wręcz "nobilizacją" ludobójstwa. Cóż - mogą powiedzieć - antysemityzm jest "ludzkiem" uczuciem, tak starym jak europejska kultura, hitleryzm tu niczego nowego nie wymyślił! To właśnie "uniewinniające" kłamstwo wymaga przygwożdżenia - hitleryzm bowiem wniośł do życia ludzkości coś absolutnie nowego, sprzecznego z całym procesem cywilizacyjnego postępu myśli i humanistycznej ludzkiej wrażliwości uczuć. Zrodził nowy typ bakterii rozkładu społecznych organizmów.

We wszystkim, co tu powiedziano, nie chodzi o obronę Polaków. W ciągu sześciu lat wojny i okupacji naród ten miał dostatecznie wielu bohaterów i męczenników - ale nie z samych świętych się składał. Piszący te słowa, uczestnik tego, co się na tych ziemiach rozgrywało, zarazem z racji socjologicznych zainteresowań dość baczny obserwator ludzkich postaw i reakcji - przykładów haniebnego i zdradzieckiego zachowania swych rodaków zna zapewne więcej niż autorzy antypolskich

filmów, książek i broszur. Hitlerowska okupacja wnosila gangrenę nawet do tak przeciw okupantom nastawionego organizmu, Gestapo werbowalo swych agentów także i tutaj. Donosili oni nie tylko na ukrywających się Żydów, także na działaczy i żołnierzy walczącego podziemia - tu zresztą granice się zacierały /przykład z brzegu: ktoś doniósł na pokłóconego z nim sąsiada, że ukrywa Żyda - zastrzelono i Żyda i sąsiada; pytanie: przeciwko komu był donos?/. Przemilcza się przy tym, że na takich agentach sądy podziemne wykonały wiele wyroków śmierci. Rzuca się oskarżenie, iż Polacy "aprobująco patrzyli na mordowanie Żydów" - a ile tysięcy Polaków zastrzelono na miejscu za ukrywanie i pomoc Żydom?! Kto inny jeszcze poniósł takie ofiary? Zaiste, niezłatwo stojącemu zdaleka zrozumieć, co działo się w tym kraju, który przez sześć lat był jednocześnie frontem walki i miejscem kaźni.

Nie można w tych z konieczności pobieżnych uwagach pominąć, że już w powojennym okresie dowodów polskiego antysemityzmu dostarczyły same polskie władze - w sytuacji, kiedy Żydów praktycznie już tu nie było. We frakcyjnych rozgrywkach wewnątrz komunistycznej partii użyto i tej metody, rozpętano /marzec 1968 roku/ antysemicką histerię, zmuszając parę setek żyjących tu jeszcze inteligentów o "nieczystym" pochodzeniu do emigracji. Wyrządzono narodowi i kulturze polskiej ciężką, bolesną stratę. Shańbiono polską tradycję tolerancji /w tym samym roku drugim przykładem hańby był ochotniczy udział w inwazji na Czechosłowację, wystawiający na ironię hasło od prawie dwóch wieków wypisane na polskich sztandarach "Za naszą i waszą wolność"/. Do starożytności całemu światu namacalnego dowodu, upoważniono do rzutowania antysemityzmu na całą historię tego narodu.

W najmniejszej mierze nie chodzi tu także o szerzenie nienawiści między narodem polskim i niemieckim. Wszystkie sondaże polskich socjologów potwierdzają, że obecnemu społeczeństwu polskiemu uczucia takie są obce - zwłaszcza młodszym generacjom, często nawet dochodzi do konfliktów z tymi przedstawicielami starego pokolenia, którzy hodują w sobie wojenne urazy.

Ale oskarżenia i zniewagi rzucone na Polskę są właśnie próbą pobudzenia antagonizmów i nienawiści. Z poza nich widoczne są ręce i cele manipulentów, którym chodzi o coś zupełnie innego - o zaprzeczenie, że coś takiego jak hitleryzm i jego zbrodnie w ogóle istniało - i więcej nawet: o stworzenie nimbu glorii nad głowami ludobójców.

Dlatego z tej ziemi, która przyjęła prochy trzech milionów wymordowanych Żydów i tyluż milionów polskich ofiar, musi wyjść głos przestrogi, alarmu! Groźna, wyhodowana przez hitleryzm bakteria wywołująca gangrenę w społecznym życiu na naszym globie - nie wyginęła. W różnych miejscach tworzy zapalne ogniska, niesie groźbę nowej epidemii.

Współczesny świat toczy wiele niebezpiecznych chorób, ale żadna nie może być groźniejsza od tej, która wywołała II wojnę światową wraz z jej nie całkiem jeszcze znanymi kulisami.

WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

Warszawa, maj 1985 r.

Opis gada - próba syntezy

Kiedy w styczniu 1982 meldowałem się na pobyt stały w Krośnie nie wiedziałem jeszcze, że w trzy lata później rozgoryczony i poniżony będę próbował zrobić rachunek sumienia.

W tamten styczniowy poranek przytupując z zimna przed zamkniętym o tej porze budynkiem Urzędu Miasta nie myślałem o nadchodzących latach. W tamten styczniowy poranek nie mogłem przecież przewidzieć, że wkrótce zostanę nauczycielem, a więc kimś gorszym. Nie wiedział o tym urzędnik wbijający mi pieczętkę do dowodu, ani taksówkarz bez-trosko gaworzący o pogodzie. W ogóle mało kto wiedział czego tu szukałem. No bo rzeczywiście, po co tu przyjechałem, po co poszedłem pracować do szkoły, po co się ożeniłem i co u licha wpadło mi do głowy, żeby mieć dziecko? - To sprawa Boga - odpowiadałem w takich przypadkach i czując wtedy jakbym stał gdzieś obok i patrzył na Stwórcę obarczonego dziećmi, nielubianą pracą, co wieczór martwiącego się o mieszkanie, a mimo to rano całującego żonę i dziękującego mi, że dałem tak wiele. A więc nie motywy są ważne, a realistyczny schemat. Być może nie znając do końca motywów postępowania, mechanizmów, które pozbawiły ludzi resztek godności okazały się te refleksje doświadczaniem jednostkowym, wyjątkowym, ale stojąc naprzeciw niespotykanego gada nie zastanawiamy się nad jego osamotnieniem.

Od tego miejsca powinna się rozpocząć ta opowieść, od momentu kiedy pchnąłem oszklone drzwi i kostropatej urzędnicze oświadczyłem:

- Chciałbym podjąć pracę jako nauczyciel języka polskiego.

Wiele razy obiecywałem sobie, że właśnie tak reportażowo, dzień po dniu opiszę gada.

W pokoju zaległa cisza. Gad znieruchomiał, a później spytał rzeczowo:

- Ma pan maturę?

Obiecywałem to sobie, ale kiedy w lutowy wieczór 1985 roku usiadłem nad maszyną do pisania zrozumiałem ze smutkiem, że popełniłem błąd, że to, co brałem za klucze byłoby jedynie głaskaniem gada, epatowaniem czytelnika drastycznymi skutkami procesu, który ma swoją instytucjonalną bazę. Jednym słowem w tym szaleństwie jest przyczyna.

Tym, co rzuca się w oczy już przy pierwszych kontaktach z gadem jest deformacja humanistyczna dokonywana głównie w trakcie nauczania historii, języka polskiego, wychowania obywatelskiego. Odbywa się ona dwutorowo. Jeden z nich to indoktryncja ideologiczna podręczników, książek beletrystycznych, filmów telewizyjnych i kinowych, a więc tego wszystkiego, co dla młodego widza stanowi ulubioną kulturę masową i w przypadku słabej pozycji domu rodzinnego pełni funkcję głównego źródła wiedzy o świecie. Przeszłość, tradycję chrześcijańskiego w końcu kraju próbuje się sprowadzić do poziomu ideologicznej użyteczności. Tylko o tym warto pamiętać, co wiąże się z teraźniejszością - z Polską socjalistyczną. Manipulacja taka dokonuje się poprzez odpowiedni dobór i zestawienie faktów, przemilczenie i komentarz. Ten szczególny stosunek do przeszłości nie powinien dziwić, jeżeli uprzytomnimy sobie, że władza komunistyczna, której rządy datują się w Polsce od 1945, jest w istocie władzą rewolucyjną. Stosunek do tradycji jako zbędnego balastu staje się w tym kontekście zupełnie oczywisty. Przypomnieć wypada, że w zakresie nauk historycznych ostateczna rozprawa z przeszłością nastąpiła w 1951 roku na zjeździe historyków w Otwocku /dwa lata wcześniej odbył się zjazd ZLP w Szczecinie/, co stworzyło harmonijny front mordowania polskiej humanisty-

ki. Sytuacja pogarszała się aż do apogeum czyli października 1956. Po krótkiej, pełnej nadziei odwilży nastąpił jednak powrót podejrzliwości, jaką władza darzyła nauki humanistyczne. Na marginesie wypada stwierdzić, że właśnie podejrzliwość jest główną zasadą współistnienia władzy i inteligencji. Podejrzliwość zresztą w pełni uzasadniona.

Otóż właśnie po 56 roku pojawia się wspomniany przeze mnie drugi tor deformacji humanistyki, groźniejszy, bo zakamuflowany - nazwijmy go - personalny. Odpowiedni dobór wykładowców i nauczycieli, stworzenie poczucia zagrożenia i nieustannej inwigilacji, oto cechy charakterystyczne dla tej metody. Modne ostatnio hasło, że nauczyciel jest urzędnikiem państwowym i tylko państwu powinien być lojalny, daje sporo do myślenia. Podkreśla służalczość wobec państwa, a nie jak było niegdyś, wobec prawdy. A więc nie wartości etyczne, a zgodność z państwową propagandą powinna przyświecać nauczycielowi. Tak to moralność została zastąpiona czymś przeciwnym - moralnością socjalistyczną.

Jak to możliwe, można by spytać, że można tak manipulować ludźmi, jeżeli to tylko sprawa świadomości? Otóż nie tylko: idealistyczne założenie, że wszyscy ludzie dążą do prawdy, nie wszyscy jednak potrafią tę prawdę rozeznaczyć, jest w tym ustroju błędne. Dzięki upolitycznieniu wszystkich gałęzi życia społecznego stworzono mechanizm, według którego kultura czy przemysłem kierują nie fachowcy /którzy z reguły dzięki wysokiemu stopniowi wiedzy zdają sobie sprawę ze swojego położenia/, ale aparatczycy, wybitni specjaliści z dyplomami WUML-ów w kieszeniach. Nie dziwi w tym kontekście szokujący na pozór ruch kadr, gdzie, powiedzmy, minister górnictwa zostaje ministrem kultury. W końcu to wszystko jedno. Ta nieudolność rządzenia, za którą winę ponosi system, doprowadziła do szczególnego traktowania pracownika, również nauczyciela.

Nauczyciel /obojętnie na jakim szczeblu szkolnictwa/, który w pełni uświadomił sobie tę sytuację, staje przed wyborem akceptacji swojej dyspozycyjności w zamian za co uzyskuje luksus tzw. spokojnego życia, przetykanego od czasu do czasu medalem i premiami. Staje się oczywiście niewolnikiem i to niewolnikiem żalosnym, bo dobrowolnym, a jednocześnie w pełni świadomym swoich ograniczeń. Gdyby problem sprowadzał się jedynie do samozniewolenia, z pewnością nie warto byłoby o tym mówić, ale przyjęcie postawy niewolniczej łączy się z pewnymi obowiązkami. Otóż w zamian za comiesięczny akt łaski, czyli pensję, nauczyciel zobowiązany jest dostarczyć państwu gotowy produkt. Bezkonfliktowy, poddańczy, doskonale wkomponowany w krajobraz. Rzecz o tyle dramatyczna, że tym produktem jest dziecko - bezbronne wobec nauczyciela, ślepo mu ufające, zakładające a priori czystość jego intencji. I tak żalosny do tej pory nauczyciel staje się intelektualnym katem. Wypacza dziecku na długie lata wyobrażenie o sobie i świecie.

Nauczyciel, który potrafi odrzucić to jarzmo, staje się obiektem ataków nie tylko ze strony władzy, ale i kolegów, którym taka postawa przeszkadza, wymaga zajęcia stanowiska. Nauczyciel taki bywa pomijany przy nagrodach, nieustannie kontrolowany, szykanowany, ale pojmując swoją pracę jako /używając słów kard.F.Macharskiego/ "wartę honoru" zyskuje rzecz bezcenną dla człowieka - wiarygodność i spokojne sumienie. Oczywiście w większości nauczyciele w ogóle nie zdają sobie sprawy z możliwości takiego wyboru, ale jak już napisałem, nie o ludzi tu chodzi, a o gada co za nimi stoi.

Dyspozycyjność odnosi się nie tylko do nauczycieli, charakteryzuje również układ pomiędzy szkołą, a władzami oświatowymi, kuratorium, ministerstwem. Stosunek oparty na strachu, beźmyślnym poniżaniu. Z przerażeniem przeczytałem list jednej z dyrektorów szkół /"Tygodnik Powszechny" 1981 r./, która opisywała jak na zebranie z kuratorem

spóźniły się dwie osoby. - "Panowie spóźnialscy będą stali pod ścianą" - zawyrokował szef. Dwóch spoconych, starszych ludzi stało grzecznie pod ścianą bojąc się zaprotestować. W kilka miesięcy później przekonałem się, że bywa to na porządku dziennym. Nieustanne zagrożenie rodzi frustrację, ale i powinno wytwarzać solidarność. Tak się niekiedy dzieje, lecz bywają również wypadki /jeden niestety znam ze swojego smutnego doświadczenia/, że wspomniany dyrektor-dyletant widzi w zacieśniających się więziach zagrożenie dla siebie. Całą energię ukierunkowuje więc na próby skłócenia ludzi. Wśród skłóconych, osamotnionych ludzi czuje się o wiele lepiej - wszyscy jadą na jednym wózku. Konsolidacja i opór grona stwarzałyby konieczność wyboru.

Nie chciałbym rozwijać tego tematu z tych samych powodów, dla których porzuciłem myśl napisania reportażu. Nie chcę pisać o nauczycielach jako grupie zawodowej, bowiem taka optyka utwierdzałaby, uspokajała ludzi słabych, zaszczytów, także karierowiczów, miernoty a krzywdziłaby odważnych, bezkompromisowych, których, jak w każdym zawodzie, nie brak.

Innym wrażeniem rozpoczynającego pracę jest bylejąkość intelektualna. "Dominujący jest kolor szary" - powiedziałby M. Nowakowski i jest to rzecz przejmująca, zważywszy, że szkoła powinna przede wszystkim kształcić. Bezmyślność, wygodnictwo w akceptowaniu programów, wskazówek, instrukcji. Do rzadkości należą indywidualne poszukiwania różnych źródeł wiedzy, chęć doksztalcenia się, uatrakcyjnienia wykładu czy lekcji. Trudno się dziwić tej drugorzędnej roli wiedzy w placówkach oświatowych, jeżeli już po 1968 roku za naczelne zadanie szkoły uznano wychowanie patriotyczne. Nie kształcenie umysłów a indoktrynacja ideologiczna. To, że nie jest to zjawisko żywiołowe, a precyzyjnie zaplanowany proces stopniowego ogłupiania narodu, świadczy od lat używany przez studentów kierunków nauczycielskich podręcznik pt. "Pedagogika" /autorzy tego kuriozum: M. Godlewski, S. Kraciewicz, T. Wujek/, w którym czytamy: "Prawdziwie socjalistyczny ideał wychowania polega na głębokim zespoleniu człowieka z naczelnymi wartościami aksjologii marksistowskiej". Co więc oznacza owo wychowanie patriotyczne łatwo się domyśleć. Nie ma po prostu patriotyzmu bez marksizmu. Na początku był nie Chaos, a marksizm. Martwić się o ojczyznę, pracować dla niej, walczyć, można, ale tylko z pozycji marksistowskich, w innym przypadku narazimy się na zarzut niepatriotyzmu, anarchizmu, trockizmu. Przypomnę tylko, że dziełko jest obszerne i składa się nie tylko z tego jednego zdania.

Taka koncepcja wychowania wiąże się również z ateizacją świadomości, a to już, panowie, sprawa kryminalna. Jak bowiem wasze, jedynie słuszne, marksistowskie wychowanie pogodzić z konstytucyjną wolnością wyznania? Sprawa byłaby bez znaczenia, gdyby pozostawała jedynie na papierze, ale zgodnie z założeniami filozofii marksistowskiej /ostatycznym kryterium prawdy jest praktyka społeczna/ z tezami "Pedagogiki" spotykamy się na co dzień. Przedstawienie roli Kościoła katolickiego jako reprezentanta jeszcze jednej religii w Polsce, oderwanie jej historii od ruchów wolnościowych, morelności, jest wypaczeniem chrześcijaństwa. /A przecież jednym z haseł poznańskiego czerwca obok: "Chcemy wolności", "Chcemy chleba", było "Chcemy religii w szkołach"/. Skutki takich zabiegów dostrzegamy od wielu lat. Nawet zjawisko gwałtownego wzrostu liczby wiernych w kościołach jest tego potwierdzeniem /oprócz oczywiście integracyjnej działalności Ojca Świętego/. W Polsce stała się rzecz przerażająca - religia straciła swoją prawdziwą strukturę, a zaczęła być kategorią ideologiczną. Tłum ludzi w kościołach świadczy nie o triumfie chrześcijaństwa w człowieku, a w państwie. Innymi słowy, człowiek deklarujący się dzisiaj jako katolik nie czyni tego w wyniku religijnych doświadczeń, ale w opozycji do poczynań systemu. Jest to triumf Kościoła /podkreślenie godnej postawy duchowieństwa przez 40 lat/, ale i chyba zubożenie sa-

mego metafizycznego przeżycia wpływającego z obecności Boga. Rzecz jasna, nie jest to reguła i nie dotyczy ludzi głęboko wierzących.

Szkoła, oprócz dyspozycyjności i zachowawczości odznacza się również represyjnością, która jest jakby naturalnym narzędziem, skutkiem zniewolenia. Sfrustrowany, poniżony nauczyciel, rozliczany jest głównie z dyscypliny, z tego osławionego wychowania patriotycznego. Nie posiadając autorytetu opartego na wiarygodności wymusza strachem wykonywanie poleceń. Krzyk, nierzadko obelgi, są podstawowym środkiem wychowawczym. Nauczyciel, który nie wyzywa uczniów, uważany jest za niezdecydowanego. Sam doświadczyłem na swojej skórze takiej sytuacji, kiedy dyrektorka zwróciła mi uwagę bym częściej krzyczał na dzieci. Nie interesowało ją czy w klasie, na lekcjach panuje spokój, czy uczniowie słuchają, jak się uczą - po prostu chciała, żeby krzyzczeć. Podejrzewam, że w ogóle nie przeczuwa istnienia innego sposobu oddziaływania. Represyjny charakter szkoły jest wielopłaszczyznowy. Nie tylko w relacji uczeń - nauczyciel, ale i nauczyciel - dyrektor, dyrektor - władza, by wrócić do klasy i zdeformować kontakty między uczniami /oparte niejednokrotnie na przemoc i złośliwości/.

Widać jasno, że szkoła w tym kształcie w jakim funkcjonuje obecnie jest instytucją demoralizującą. Demoralizującą, ponieważ dopuściła w swoich murach do zjawiska reifikacji. Urzeczowieniu własnych dzieci dzielnie sekundują sami rodzice. Tak, tak, to nie pomyłka. Właśnie rodzice traktują swoje dzieci jak luksusowe towary, które nawet czasami się kocha. I w imię tej miłości /jakże dziwnej, krótkowzrocznej/ starają się pozabawić dziecko wszelkich cech indywidualności wierząc, że tylko szarość, obecność w masie zapewni im szczęście. Cel ten pokrywa się idealnie z celem nauczyciela, któremu nakazano stworzyć zuniformizowany kolektyw. Ale cała ta operacja nie odbywa się tak bezkonfliktowo, dziecko czerpie swoją wiedzę nie tylko z domu i szkoły, ale i z ulicy. Ulica nie ma żadnych racjonalnych powodów żeby kłamać, mówi prawdę i robi to w sposób brutalny, uproszczony, przez to łatwiejszy do zapamiętania. Zetknięcie się tych dwóch form wypowiedzi zawsze jest niekorzystne dla szkoły - nudnej, obwarowanej pustymi definicjami, tandetnym pedagogizmem. Jeżeli w sposób zasadniczy treści tych źródeł różnią się między sobą, dziecko wybierze prawdę ulicy dlatego, że w jego odczuciu jest powszechniejsza i atrakcyjniej opakowana. Jeżeli treści się pokrywają, dziecko zaczyna się interesować samą formą, pojawia się myślenie o szkole, a przede wszystkim o nauczycielu, jako o wiarygodnym źródle informacji o świecie. Wiarygodność nauczyciela może więc stać się poważnym impulsem do chęci zdobywania wiedzy. Oczywiście istnieją przecież rodziny potrafiące wychować swoje dzieci w atmosferze szacunku dla ich odrębności, w poszanowaniu prawdy. Rzadko się jednak zdarza, aby te trzy elementy składowe idealnie współgrały, a jest to warunek sine qua non istnienia nie tylko szkoły.

Jak wobec tego powinna wyglądać praca nauczyciela? Przede wszystkim nie może się ona opierać /jak to pięknie określił ks.prof. J. Tischner w "Etyce solidarności"/ na wychowaniu przez napiętnowanie. Jest to wychowanie całkiem pozorne, fasadowe. Nauczyciel musi być ojcem nie policjantem, choćby dlatego, że los wychowawcy sprzęgnięty jest z losem wychowanków, co w sposób przejmujący udowodnił J.Korczak. Ta wspólna płaszczyzna to wierność nie jakimś tam aksjologiom marksistowskim a prawdzie. Na tej wspólnej drodze do prawdy nauczyciel powinien spotykać się z uczniem na płaszczyźnie jawności i wierności. Zarówno wierności wartościom etycznym, jak i ludziom, z którymi się identyfikujemy.

Czy jest to możliwe? Czy szkoła w ogóle może być inna? Myślę, że tak. Wystarczy sięgnąć do pamiętników z okresu międzywojennego. Zarzykowałbym twierdzenie, że szkoła jest wiernym odbiciem stosunków społecznych panujących w danej chwili /przypomnijmy z kolei sytuację

szkoly w Polsce porozbiorowej, jakże zbieżnej z obecną/. Jest to smutne i alarmujące, że zamiast być oazą, skrawkiem suwerennej prawdy, gdzie wykluwa się nowe, doskonalsze społeczeństwo, szkoła jedynie pogłębia proces demoralizacji. Poprzez swoją zachowawczość i podporządkowanie zdolna jest do zmian jedynie w okresach silnych wstrząsów społecznych /przykład Sierpnia 80, kiedy to powstała silna, prężnie działająca "Solidarność" nauczycielska/. Cóż zresztą mówić o suwerenności, jeżeli po wybuchu stanu wojennego uczniowie jednej ze szkół wywiesili plakat "Orła wrona nie pokona". Nierozważne to może, ale prawdziwe, tak czują, jest to ich patriotyzm. Co robi dyrektor - wychowawca młodzieży, spadkobierca idei Korczaka? Podnosi słuchawkę i denuncjuje uczniów, grupę prosolidarnościowych nauczycieli. Jest straszna styczniowa noc stanu wojennego. Jeszcze nie wiadomo co będzie. Na korytarzu miejscowego SB pedagogzy i uczniowie uczą się najnowszej historii.

Szkola wymaga poważnych reform, nie takich jednak o jakich myśli władza. Wymaga zmian podstawowych, począwszy od organizacji samego życia szkolnego, odejścia od tego idiotycznego, prawie biologicznego rytmu rocznicowego. Życie kulturalne bowiem rozwija się tutaj od rocznicy do rocznicy /Rewolucja Październikowa, 1 maja, Dzień nauczyciela, imieniny dyrektora itd/. Poza nimi nic się praktycznie nie dzieje. Gazetka silnie spropagandyzowana, bo jakże może być inaczej, kiedy praktycznie robi ją sam nauczyciel. Uczniowie mogą jedynie pomagać, a przecież miało to być miejsce aktywności samych uczniów. Ktoś się jednak tej aktywności boi, ktoś zdaje sobie sprawę z absurdalności oficjalnego życia, ktoś wie, że to zwyczajne kłamstwo. Praca w takiej instytucji jak w żadnej innej powinna być formą porozumienia człowieka z człowiekiem. Wymaga tego porozumienia i służy porozumieniu, nie może się więc odbywać w atmosferze zastraszenia. Żeby móc cokolwiek zmienić w placówkach oświatowych należało by dać im pewien glej niezależności, a przede wszystkim apolityczności. Podnosząc kwestię apolityczności przypominam głosy dziennikarzy rządowych krzyczących na przełomie listopada i grudnia 1981, że szkoła nie powinna być miejscem politycznych rozgrywek. Panowie gardłowali w sytuacji, kiedy prawie wszystkie szkoły w Lublinie strajkowały żądając właśnie apolityczności. Te same głosy podniosły się ponownie, kiedy uczniowie we Włoszczowej postanowili bronić krzyży na ścianach. W ten oto sposób, dzięki własnej propgandzie, socjalizm stracił polityczność /apolityczny wg nich to zgodny z socjalistycznymi realiami/, stał się domeną prywatnych przekonań - religii. Czyżby to któryś z waszych klasyków, panowie, powiedział, że religia to opium narodu? Skończmy wreszcie z tą narkomanią. Tym bardziej, że za kilka lat do szkoły pójdzie mój syn.

PAWEŁ ORKAN

Nauka i socjalizm

Jakiś czas temu przyszło mi na myśl, że nadszedł moment, w którym warto by było zorganizować wielką publiczną dyskusję na temat "Czy socjalizm był pomyłką?". Zdobyłem poparcie dwunastu członków Mont Pelerin Society, by występowali jako zespół odpowiedź pozytywną, przy czym planem naszym było wyzwanie podobnego zespołu z drugiej strony na publiczną dyskusję, którą mieliśmy nadzieję odbyć w Paryżu.

Okazało się to niewykonalne z dwu powodów, które też są interesujące. Jednym jest to, że przedsięwzięcie takie, na skalę przeze mnie zamierzoną, jest bardzo kosztowne, a nasze wysiłki zdobycia funduszy od kapitalistów nie powiodły się. Kapitaliści ewidentnie nie byli zainteresowani intelektualną stroną kapitalizmu. Faktycznie największa oferta, jaką otrzymałem, pochodziła od lidera niemieckiej bankowości, który na mą prośbę o kwotę 400 000 marek niemieckich zaoferował mi 3000 marek. Ale nie to stanowiło główny problem. Myślę, że jealibyśmy wytrwali, mogliśmy odnieść sukces w zdobyciu funduszy na znacznie szerszą skalę.

Znacznie poważniejsze kwestie powstały, kiedy zebraliśmy się na spotkaniu Mont Pelerin w Hong Kongu. Wskazano tam, że jeśli my wybierzymy zespół przeciwny, to mógłby on nie mieć wiarygodności. Jest w tym wiele prawdy. W wyniku tego spotkania poproszono mnie o przededagowanie wyzwania w formie książki, przedłożenie jej dwunastu członkom naszej strony, opracowanie jej z pomocą ich uwag w małą książeczkę i uczynienie z niej wyzwania przez zaproszenie drugiej strony do zorganizowania awego własnego zespołu do dyskusji publicznej.

Teraz, siedząc i pisząc ją odkryłem, że samo wyłożenie powodów - tak jak to uczyniłem, jako podstawę do debaty w nieco teoretycznych terminach - dla czego wierzę, że socjalizm w żaden sposób nie może funkcjonować i że cały schemat jest pomyłką, nie byłoby wystarczające. Skłoniło mnie to do napisania drugiej, znacznie dłuższej części tego tomu, którą postanowiłem nazwać "Rozprawa o reakcyjnym charakterze koncepcji socjalistycznej".

Problem naukowy czy wartościowanie ?

Oto temat, który chcę przedyskutować i dać Państwu zarys idei, które, jak sądzę, posiadają pewną doniosłość. Musi się stawić czoła pewnej kwestii, której unikają ekonomiści - tezie, że jest to całkowicie problem sądów wartościujących i przez to nie może być rozstrzygnięty naukowo. Jestem przekonany, że jest to błędne, ponieważ problem ten przedstawiony jako kwestia czy dany cel może być osiągnięty, pociąga za sobą pytanie, czy wartości oraz zasady moralne i etyczne, które nam przewodzą, są do pogodzenia między sobą i z tym, czego rzeczywiście chcemy. A to są wyraźne pytania naukowe.

Doszedłem do przekonania, że zaniedbanie przez ekonomistów poważnej dyskusji nad tym, co stanowi kluczowy problem naszych czasów, jest spowodowane pewną obawą ubrudzenia sobie rąk przy przejściu od problemów czysto naukowych do kwestii wartości. Jest to wiara rozumnie podtrzymywana przez stronę przeciwną, ponieważ gdyby dopuścili oni, że kwestia ta stanowi problem naukowy, zmuszeni byłiby przyjąć, że nauką ich jest przestarzała i w kręgach naukowych zajmuje pozycję astrologii i nie posiada już żadnego uprawomocnienia do poważnych rozważań w dyskusji naukowej. Wydaje mi się, że socjaliści mogą dziś zachować swoją pozycję w akademickiej ekonomii jedynie pod pretekstem, że różnice te są całkowicie kwestią moralną o której nauka nie może decydować.

Kwestia ta prowadzi nas do intelektualnej i jak wierzę, ściśle naukowej analizy zależności między naszymi zmieniającymi się wierzeniami moralnymi a ekonomiczną i społeczną strukturą społeczeństwa.

Ewolucja moralności

Punkt wyjścia jest bardzo prosty. Nie ulega wątpliwości, że nasze wrodzone odczucia moralne i instynkty zostały nabyte w ciągu setek tysięcy lat - prawdopodobnie pół miliona - podczas których Homo Sapiens żył w małych zbieracko-łowickich grupach i rozwinął fizjologiczną konstytucję, która rządziła jego wrodzonymi instynktami. Instynkty te są w nas wciąż bardzo silne. Jednakże cywilizacja rozwinęła się poprzez stopniowe przyswajanie reguł kulturowych, które były przekazywane przez uczenie i które służyły głównie do powstrzymywania i tłumienia niektórych z tych naturalnych instynktów. Chociaż wciąż skłonni jesteśmy opisywać je jako "dobre instynkty", musimy je w dużej mierze tłumaczyć w celu utrzymania naszego typu społeczeństwa oraz porządku gospodarczego, na którym społeczeństwo to może się oprzeć.

W takim rozumieniu istnieje konflikt pomiędzy różnymi regułami moralnymi, ale jest to konflikt, do którego możemy podejść w sposób naukowy, ponieważ pytanie brzmi: czy ludzie, którzy byłiby rzeczywiście świadomi tych konfliktów będą wciąż optować za zaspokojeniem swych uczuć moralnych? Czy też będą musieli przyznać, że te reguły moralne, które stopniowo rozwinęła kultura, których nie zaprojektowaliśmy, których nie wybraliśmy dlatego, że wiedzieliśmy iż są dobre, ale które rzeczywiście umożliwiły nam rozwinąć na skalę światową system wymiany i podziału pracy, są obecnie podstawowym warunkiem osiągnięcia tego, czego praktycznie chce każdy - nawet ci ludzie, którzy odczuwają nostalgię za pierwotnymi formami społecznymi.

W krótkiej wypowiedzi, takiej jak ta, muszę przedłożyć moją argumentację w nieco wyostrożonej formie; nie mogę przedstawić wszystkich fascynujących detali, które pojawiają się, gdy śledzi się te kwestie, lecz wskażę na dwa punkty kluczowe. W małej grupie zbieracko-łowickiej, liczącej od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu ludzi, istniały dwa dominujące pojęcia moralne, które dziś opisujemy za pomocą terminów "solidarność" i "altruizm". Solidarność oznacza wspólne cele realizowane razem z naszymi współtowarzyszami. Wszyscy znamy uniesienie, jakiego doświadczamy współcześnie, gdy wraz z przyjaciółmi realizujemy wspólne cele. Słynny "moralny ekwiwalent wojny" Williama Jamesa jest dobrą ilustracją tego charakterystycznego uczucia. Jednakże nie ulega wątpliwości, że podczas gdy w małej grupie koniecznym jest, aby wszyscy członkowie realizowali te same cele we wspólnie uznawanej sytuacji, to poszczerstwo temu instynktowi przeszkodziłoby wszelkiemu rozwojowi społeczeństwa.

Rozwój społeczeństwa był spowodowany faktem, że poszczególni członkowie nie musieli przymusowo przestrzegać wspólnych, sprzeczowanych celów, ale mieli swobodę realizacji celów, które mogły różnić się od celów innych członków grupy.

To samo odnosi się do drugiego "dobrego instynktu", który wciąż rządzi naszymi emocjami, ale który przestał być konieczny do powstanie wielkiego społeczeństwa: do zasady "altruizmu". Jest ona nieco trudniejsza do dyskusji, ponieważ samo to pojęcie jest dwuznaczne i niejasne. Istnieje jednak jedna czy dwie kwestie, które można pokrótce wyjaśnić: altruizm rozciąga się jedynie na znane potrzeby znanych ludzi; nie może on prowadzić do wzrostu społeczeństwa, które polega na służeniu potrzebom ludzi, o których samym istnieniu nie mamy pojęcia.

Obowiązek altruizmu polega na wyborze pomiędzy wielością znanych potrzeb znanych ludzi a pilnością naszych własnych potrzeb. Ale gdy

przychodzi do zaspokajania potrzeb ludzi, o których samym istnieniu nie wiemy, altruizm nie może nami kierować. Altruizm w rozumieniu, że musimy zaspokoić potrzeby naszych znanych sąsiadów zanim osiągniemy korzyści z kontaktów z obcymi, uniemożliwiłby rozszerzenie się społeczeństwa poza małą grupę.

To właśnie te dwa instynkty, głęboko zakorzenione w naszych czysto instynktowych czy intuicyjnych reakcjach pozostają wielką przeszkodą w rozwoju nowoczesnej gospodarki.

Gdybym miał na to czas, napisałbym całą historię gospodarczą w terminach stopniowego podporządkowywania tych dobrych, naturalnych instynktów przez kulturowo rozwinięte reguły zachowania, które nie dotyczą już dłuższej konkretnych celów i konkretnych potrzeb znanych osób, ale są czysto abstrakcyjnymi regułami zachowania, mającymi mało wspólnego z tym, co podpowiadają nam czynić nasze instynkty.

Konflikt pomiędzy starą a nową moralnością

Od czasu tej drastycznej zmiany zachodzi w nas ciągły konflikt pomiędzy dwoma koncepcjami moralności: moralnością wyuczoną czy regułami zachowania, które stopniowo nabyliśmy i które różne części populacji przyjęły w różnym stopniu a głęboko zakorzenionymi, emocjonalnymi, naturalnymi i jak wciąż je nazywamy, dobrymi instynktami. Naszym życiem nie rządzą już ani instynkt, ani rozum, lecz tradycyjne, nabyte reguły zachowania.

Myślę, że ten członek małej grupy, który pierwszy wymienił coś z kims obcym, pierwszy człowiek, który zrealizował swe własne cele bez decyzji i aprobaty przywódcy lub powszechnych odczuć grupy, pierwszy człowiek, który przed innymi zażądał dla siebie prywatnej własności, w szczególności prywatnej własności ziemi, pierwszy człowiek, który zamiast oddać swój produkt sąsiadowi wymienił go gdzieś indziej - nie mówiąc o późniejszym rozwoju pieniądza i pożyczania pieniędzy, w szczególności pożyczania na procent - przyczynił się do rozwoju etyki, która umożliwiła społeczeństwo wymiany światowej. Musiało to jednak być osiągnięte w ciągłej walce z dominującą opinią grupy, w której żył - opinią podtrzymywaną przez starych mądrych ludzi - a odkąd istniało państwo czy zorganizowana religia, zarówno przez państwo jak i religię.

Nie potrzebuję przytaczać dalszych przykładów; najbardziej popularną ilustracją jest oczywiście stopniowa akceptacja lichwy wbrew całej chrześcijańskiej nauce w tej kwestii.

Nie ulega wątpliwości, że, powiedzmy, ateński garncarz mógł zawsze znaleźć jakiegoś innego biednego Ateńczyka, który zyskałby na posiadaniu jeszcze jednego dzbana, a jeśli ten wytwórca dzbanów przykładał więcej uwagi do szych drzew oliwnych, to przynajmniej dzbana napełnionego oliwą. W rzeczywistości ten dzban napełniony oliwą popłynął przez Morze Czarne i przywiózł ziarno, dzięki któremu większość Ateńczyków mogła żyć. Chociaż motyw tego działania był całkowicie egoistyczny, jego efekt był wyraźnie dobroczynny dla utrzymania biednych w tym społeczeństwie.

Wszystkie centra handlowe świata, dookoła Morza Śródziemnego i gdzie indziej rozwijały się stopniowo poprzez takie byz wątplenia antyplemienne działania, poprzez które jednostka realizowała swoje własne interesy, ale ostatecznie produkowała w ten sposób dobra, które umożliwiły wyżywienie większej populacji jego miasta.

Wszystko to rozwijało się oczywiście w warunkach konkurencji między grupami, z których każda naśladowała tych, którzy przyjęli nieco bardziej zaawansowany - z naszego obecnego punktu widzenia - system praktyk i których ludność wzrastała w konsekwencji tego szybciej, zarówno przez rozrodczość jak i poprzez przyciąganie ludzi z innych grup.

Zasugerowałem uprzednio, że cała historia gospodarcza może być zreinterpretowana w terminach tego stopniowego tłumienia pierwotnych instynktów przez to, co bardzo myląco nazywamy regułami "sztucznymi". Oczywiście nie są one sztuczne w ścisłym znaczeniu. Nikt ich nigdy nie wymyślił. Nie były one wynikiem projektowania. Nowe sposoby zachowania nie zostały przyjęte dlatego, że ktoś myślał, iż będą lepsze. Zostały one przyjęte, ponieważ ktoś, kto działał w oparciu o nie, zyskał na tym i jego grupa zyskała i tak reguły te bez czyjegokolwiek rozumienia ich - co jest bardzo istotne dla dalszej części mej argumentacji - bez rozumienia przez kogokolwiek w jaki sposób przynioszą one korzyść społeczności, stopniowo zstały przyjęte powszechnie.

Gdybym miał czas na opracowanie tego związku pomiędzy zmianą naszych reguł moralnych a rozwojem gospodarczym i możliwościami przetrwania coraz to większej liczby ludzi w stopniowo rozszerzającej się i ostatecznie światowej gospodarce, musiałbym opracować historię bohatera tego rozwoju, które we współczesnych podręcznikach historii jest zwykle przedstawiany jako potwór - lichwiarza. Myślę, że to lichwiarz i jego stopniowa akceptacja jako osoby tolerowanej a nawet szanowanej umożliwił w dużej mierze rozwój tego, co nazywamy kapitalizmem. Jednakże historia moralności i opinia wciąż ma tendencję do traktowania lichwiarza a nawet zwykłego handlarza jako rodzaj pasożyta - w wielu częściach Wschodu jest on ciągle członkiem najniższej z klas.

Odkrywamy, że ewolucja gospodarcza była możliwa dzięki stałej zmianie uznanej moralności i poprzez stopniowy rozwój reguł prawa, które już w klasycznym antyku doprowadziły do powstania z istoty indywidualistycznego prawa prywatnego z uznaniem własności prywatnej i umowy. Ten duch handlowy został czasowo zniszczony - obawiam się, że zgadzam się tu do pewnego stopnia z Gibbonem - pod wpływem Chrześcijaństwa i odżył znowu w czasach nowożytnych. W wieku osiemnastym i na początku dziewiętnastego ta nowa moralność, którą będę nazywał moralnością "handlową", rozprzestrzeniła się prawie powszechnie w zachodnim industrialnym świecie. Z początku może się wydawać zaskakującym, że sto lat temu więcej nawet ludzi przyjmowało tę moralność rynku jako rzecz oczywistą niż dzieje się to dzisiaj. Można to jednak łatwo wyjaśnić. Tak długo jak przeważało małe przedsiębiorstwo, czy to mała ferma czy mała firma handlowa, nie tylko głowa przedsiębiorstwa ale każdy członek, pomocnik czy dziecko uczyło się w ciągu swych codziennych zajęć tego, co można nazwać regułami wymiany handlowej.

Myślę, że tak długo jak przeważał świat małego przedsiębiorstwa, moralność handlowa była powszechnie akceptowana w świecie Zachodu z wyjątkiem może Kościoła, ale Kościół uczynił bardzo nieskuteczny protest przeciwko niej. Jego nauka utraciła praktycznie wszelki wpływ jeśli idzie o życie ekonomiczne.

Przyczyna obecnych problemów

Potem w ciągu ubiegłego stulecia zaszły dwie fundamentalne zmiany, które są przyczyną wszystkich naszych dzisiejszych problemów. Jedną było powstanie dużych organizacji, czy to wielkiego przedsiębiorstwa czy rządu, których członkowie nie uczyli się już automatycznie owych reguł wymiany handlowej. Pierwsze pokolenie mogło jeszcze wciąż nauczyć się poszanowania dla reguł rynku od swych rodziców; drugie pokolenie, dzieci pracowników, którzy sami często przeszli na status pracowników najemnych w organizacjach produkcyjnych lub zostali pracownikami służb publicznych, od dzieciństwa już nie uczyli się ich. Rzecz jasna, działania takie jak poszukiwanie nabywców, konkutowanie z innymi sprzedającymi, konieczność znalezienia zamówień, uważane były za działania moralne.

Pojęcie odpowiedzialnej głowy rodziny, której obowiązkiem było zebrać kapitał zarówno dla swej rodziny jak i dla przedsiębiorstwa, przestało dominować w opinii ogółu: tradycje te przestały być żywotnym udziałem każdego członka społeczeństwa. Ludzie zaczęli je coraz bardziej uważać za odziedziczone koncepcje, o których coś tam słyszeli, ale które nie mają dla nich znaczenia. Ta zmiana społeczna pozbawiła społeczeństwo poglądu moralnego, który uprzednio stał się tradycyjny, poglądu o automatycznej akceptacji - tradycji moralnej, która odniosła sukces jedynie dlatego, że funkcjonowała w praktyce, ale której nikt nie umiał uzasadnić i dla której nikt - nawet ekonomiści - nie potrafił dostarczyć rzeczywiście adekwatnego uzasadnienia. System moralny, na którym opierała się formacja rynku światowego, stopniowo tracił wiarygodność i został częściowo zniszczony z pomocą nowej filozofii. W wieku siedemnastym Hobbes, a szczególnie kartezjusz stwierdzili, najpierw w dziedzinie intelektu a potem moralności, że nie można dawać wiary niczemu, czego nie można udowodnić. Pogląd ten stopniowo się upowszechniał, szczególnie w wieku osiemnastym, a w wieku dziewiętnastym te filozoficzne wątpliwości co do tradycyjnej moralności przyniosły nagle praktyczne skutki. Utrata przekonania moralnych istotnych dla utrzymania istniejącego systemu rynkowego otrzymała nagle rodzaj intelektualnego wsparcia. Zaczęto wierzyć, że rządzące przekonania moralne są bezpodstawne, że stanowią roszczenia sprzeczne z rozumem i instynktem oraz że zostały wymyślone dla poparcia tych, którzy czerpią z nich zyski. Młodzi zdecydowali, że jeśli nikt nie potrafi im wyjaśnić dlaczego powinni być posłuszni raczej tej moralności, a nie jakiejś innej, to zrobią sobie swoją własną moralność. Jedynie moralność będąca świadomie zaprojektowaną dla znanego, powszechnego, dobrego celu mogła być rzeczywiście zaakceptowana jako godna w pełni dojrzałej rasy ludzkiej. A celem tego powinno być zaspokojenie przyrodzonych, naturalnych instynktów człowieka.

Wszystko to jest znane, nie sądzę, abym musiał przedstawiać szczegółowe dowody. Zgrubsza jednak to, co nazwałem "moralnymi podstawami gospodarki opartej na wymianie" zostało zniszczone w toku historii późnego dziewiętnastego i wczesnego dwudziestego wieku. Reformatorzy często otwarcie odwoływali się do tych pierwotnych uczuć, które powściągała tradycyjna moralność.

Spójrzmy tylko jaką rolę pojęcie solidarności odgrywa w historii socjalizmu; apójrmy ile razy aż do naszych czasów odwoływanie się do altruizmu pojawia się w argumentacji socjalistycznej. Oczywiście, nauki te padały na bardzo podatny grunt. Wpadały one w ucho ludziom, w których odziedziczone instynkty były wciąż bardzo żywe i jedynie przytłumione przez zdyskredytowaną obecnie nabytą moralność.

Jest to stan, w którym znajdujemy się obecnie i obawiam się, że osiągnęliśmy punkt, w którym to, co powiedział pewien angielski mąż stanu dziewięćdziesiąt lat temu - że teraz wszyscy jesteście socjalistami - stosuje się dziś nawet do większości anty-socjalistów. Wszyscy oni żywią uczucie, że te podstawowe fundamentalne prawdy moralne, jak pragnienie solidarności, pragnienie altruizmu powinny oczywiście mieć zastosowanie w naszej aktywności gospodarczej. Byłby to bardzo wspaniały świat, ale dziś nie jest to już dłużej możliwe. Jednakże ludzie, jak John Stuard Mill śnili, że chociaż nie jesteście jeszcze całkiem gotowi do socjalizmu, to któregoś dnia nadejdzie on z koniecznością, ponieważ stanowiąc będzie tryumf tych podstawowych instynktów etycznych, które, jeśli są w nas wszystkich, nie mogą być permanentnie tłumione.

Musimy przyznać, że zastąpienie konkretnych realizowanych przez nas celów przez orientowanie się na czysto abstrakcyjne sygnały było nie tylko jedyną możliwą drogą, na której mógł zostać stworzony światowy podział pracy, ale jedynym sposobem, który umożliwia nam dzisiaj utrzymanie porządku gospodarczego, który poprzez wykorzystywanie

większej ilości informacji niż posiada jakakolwiek osoba, może utrzymać przy życiu obecną populację świata.

Braki współczesnej ekonomii

Obawiam się, że współczesna ekonomia rzeczywiście nie wykonała swego zadania w kwestii wyjaśnienia ogółowi, że system cen jest niezbędnym warunkiem nie tylko naszego bogactwa, ale także przetrwania znacznej części populacji świata. System cen rynkowych jest istotnie systemem niezbędnym w celu dostosowania naszych działań do zdarzeń i okoliczności, których nie możemy znać. To, gdzie ekonomiści popełnili błąd - powracam tu do przedmiotu mego eseju sprzed czterdziestu lat na temat "Ekonomia i wiedza", od którego rozpocząłem refleksję na ten temat - zawiera się w pięknym opisie, jak to określony system danych determinuje szczególną organizację społeczeństwa, w sugerowaniu, że wszystkim, co musimy wiedzieć aby urzeczywistnić za pomocą świadomie zaprojektowanych organizacji znacznie lepsze zużytkowanie zasobów niż to ma miejsce obecnie, są owe "dane".

Mylili się oni w dwóch kwestiach: jedną jest to, że przynajmniej główny nurt ekonomii, ekonomia neoklasyczna, nigdy jasno nie przedstawiła tego, co nazywam "przewodnią" lub "sygnałową" funkcją cen. Było to skutkiem przetrwania naiwnych przyczynowych wyjaśnień wartości i cen zakładającym, że wartości i ceny są określone raczej przez to, co już zrobiono, niż że są one sygnałami tego, co ludzie powinni zrobić. Jeśli porzucimy zamiar wyjaśnienia faktów przez pojedyncze przyczyny, możemy jedynie dopasowywać zjawiska do naszych naukowych pojęć o strukturze świata. Nauczyliśmy się teraz, że często zachowanie jednostki jest określane przez jej sukces w utrzymaniu się jako część pewnego systemu, wewnątrz którego zachowanie jej określone jest nie przez adaptację do poszczególnej przyczyny, ale do systemu jako całości. Z tego powodu wartość nie może być wyjaśniona przez pojedynczą przyczynę, ale może być zrozumiana jedynie jako determinanta tego, co ludzie muszą czynić, aby utrzymać całą strukturę.

Drugi punkt stanowi to, że ekonomia podchodziła do tych kwestii przy założeniu "określonych danych" i wyprodukowała piękną, estetyczną satysfakcjonującą teorię by wykazać, jak dane te determinują porządek będący ich rezultatem, ale zapomniano, że dane te były czysto fikcyjne, dane te nie były nikomu znane. Były one fikcyjne w tym sensie, że ekonomistom udało się pokazać jedynie, że jeśliby znali wszystkie fakty, to mogliby określić rezultaty. Ale w rzeczywistości proces rynkowy działa nie dlatego, że my lub ktoś inny zna wszystkie fakty, ale dlatego, że mechanizm, który zbudowaliśmy, użytkuje wiedzę o faktach rozproszoną między milionami ludzi za pomocą sygnałów, które uczą nas jak dostosować się do zdarzeń, o których nic nie wiemy, do zmian w podaży surowców, o której nie mamy bezpośrednich informacji i do zmian w popycie i potrzebach, o których także nie mamy wiedzy bezpośredniej.

Obawiam się, że stałem się - przy całym estetycznym podziwie dla tego osiągnięcia - coraz bardziej sceptyczny wobec wartości wyjaśniającej konstrukcji, którą sam byłem swego czasu bardzo zafascynowany, tego wspaniałego systemu równań, za pomocą których w wyobraźni możemy pokazać to co by zaszło, gdybyśmy znali wszystkie dane. Często jednakże zapominamy, że dane te są czysto fikcyjne, nie są osiągalne dla żadnego pojedynczego umysłu i w rzeczywistości nie prowadzą przyz to do wyjaśnienia obserwowanego procesu.

Zadanie

Wierzę, że zadaniem naszym - zadaniem, które w myśl mojej opinii musi zakończyć się całkowitym intelektualnym odrzuceniem wszelkich koncepcji socjalistycznych - jest pokazać, jak jedynie rynek i zdeteminowany przez konkurencję system cen mogą umożliwić nam przystosowywanie dzień po dniu światowego podziału pracy do wciąż zmieniających się okoliczności, utrzymać ten stopień produktywności, jaki jest niezbędny aby zachować przy życiu populację świata i aby kontynuować rozwój umożliwiony przyjęciem tego systemu. Wierzę, że możemy obecnie wykazać i powinniśmy powiedzieć to publicznie, że socjalizm opiera się całkowicie na intelektualnym braku zrozumienia warunków, w których jesteśmy w stanie produkować wystarczająco wiele, by zaspokoić nasze oczekiwania. I to stanowić będzie, w bardziej rozwiniętej formie, moje uzasadnienie proponowanej pozytywnej odpowiedzi na wyzwanie, które rzuciłem w kwestii, czy socjalizm był pomyłką?

Fridrich A. von Hayek

Imperialny nacjonalizm . . .

Czym jest mocarstwo zagrażające nam obecnie? Czy można postawić znak równości pomiędzy nim, a tym imperium, którego zaborcza polityka przyczyniła się do zaniku naszej państwowości na bezmała półtora wieku? Innymi słowy - czy i na ile obecna Rosja jest kontynuatką Rosji carskiej w swym dążeniu do opanowania i zagarnięcia świata? Problem ten, skądinąd nienowy, ożył ostatnio w literaturze. Najpierw Alain Besançon w wywiadzie, którego udzielił Wojciechowi Karpińskiemu wyraził pogląd, iż przekonanie, popularne szczególnie na Zachodzie, że państwo sowieckie "to jest nowe wcielenie tradycyjnego imperium rosyjskiego" jest fałszywe, wynika z nieznamości zagadnienia i pewnego lenistwa umysłowego, a co więcej "to jest najgroźniejsze ze złudzeń, gdyż raz jeszcze mylimy się co do przeciwnika". Rząd sowiecki upodabnie do carskiego jedynie pewna ilość wspólnie znajdujących zastosowanie w działaniu obu państw środków.

Kazimierz Brandys w "Miesiącach 1982-4" zestawia ten pogląd z rozważaniami Wacława Lednickiego, który z kolei sugeruje całkowitą zgodność celów i metod obydwu wcieleń imperium. Spór jakby pomiędzy Burckhardtem a Huizingą: rewolucja, czy kontynuacja? Oczywiście, odczucie powszechnemu odpowiada raczej koncepcja Lednickiego. Jego założenie wydaje się być ponadto bardziej pesymistyczne. Wróg znany nie jest bowiem wrogiem łatwiejszym w walce. Wielowiekowa, niesłychanie konsekwentna kontynuacja celów zaborczych oznacza epokę w dziejach ludzkości, a nie załędwie kilkudziesięcioletni epizod, nad którym przejść można do porządku licząc na jego rychłe zakończenie.

Brandys, powołując się zresztą na Karpińskiego skłonny jest zająć stanowisko łączące poglądy Besançon'a i Lednickiego: "W gruncie rzeczy to dwa pozornie odmienne punkty widzenia tworzą jeden pogląd. Można by go tak sformułować: w carskim samodzierżawiu, w jego pogardzie dla jednostki ludzkiej i w nienawiści do kultury Zachodu tkwiła wynaturzona idea wschodniej teokracji i właśnie z niej, a może tylko z niej, mógł narodzić się system państwowego komunizmu - nowouformowana potęga, która przekracza dzieje Rosji, zachowuje jednak religijno-nihilistyczne piętno wielkorosyjskiej satrapii".

Na tym można by zakończyć prezentację stanowisk dodając tylko, że "historia pokaże". Zanim to jednak uczyni, z całą właściwą sobie bez-

względnością, warto może poszukać pewniejszej wypowiedzi. Można tego dokonać jedynie odmieniając ujęcie problemu. Uczynmy więc próbę.

Założenie jest następujące. Zarówno państwo sowieckie, jak i carskie, nie reprezentowało określonej siły społecznej. W swoim modelu autokratycznym stało ponad społeczeństwem, budząc dla siebie strach i posłuch, lecz nie oczekując poparcia. To prawda. Nie ma jednak i być nie może funkcjonowania całkowicie czystego modelu państwa ponad społecznego. Przyjąć możemy za pewnik - państwo, rosyjskie i radzieckie, jest i było imperialne. Na ile jednak społeczeństwo rosyjskie i radzieckie /i to nie tzw. szary człowiek, ten w obu przypadkach może mieć tylko jeden cel - przeżyć, przeżyć się, nie podpaść itp., lecz przywódcy duchowi, moralne autorytety, sumienia narodu, owa sławna rosyjska inteligencja/ podziela dążenia swych władców do zniewolenia świata?

Inteligencja w Rosji jako warstwa powstała po i w wyniku powstania dekabrystów w 1825 r. - tak dość powszechnie przyjmuje nauka. Inteligencja ta egzystowała więc w początkowym okresie pod rządami jednego z najbardziej autorytatywnych carów Rosji - Mikołaja I. W tradycjach inteligencji mikołajowskiej funkcjonowały wspomnienia z okresu epopei napoleońskiej. "zbawczej" roli Rosji w stosunku do zniewolonej przez Francję Europy, obrona Rosji wspólnym, narodowym wysiłkiem Rosjan. Rządy Aleksandra I, zwycięzcy Napoleona, oddzielało od panowania Mikołaja memento, jakim było pięć szubienic, na których zawieszono ciała przywódców liberalnego powstania dekabrystów. Ruch ten powstał i ukształtował się w armii. Tej armii, która walczyła w Europie, "oswobadzając" ją, nażyła się niebezpiecznych miazmatów wolności. Mrzonki o Rosji na wzór Zachodu, wynikły także z nie dość arbitralnej postawy Aleksandra I, całkowicie wybił rosyjskim inteligentom z głowy Mikołaj I. Stąd inteligencja, generalnie, poza oficjalnymi teoretykami: Uwarowem, Pogodinem, Szewyriowem czy Katkowem, zawsze była w opozycji przeciw carowi, sama przez niego traktowana nieufnie i bez sympatii. Wielu powierchowym historioGRAFOM wystarczyło to do formułowania tez o "postępowości" inteligencji rosyjskiej. Pojęcie "postępowy", czy "niepostępowy" nie jest precyzyjnym określeniem naukowym, a raczej inwektywą. Stosuje się ją zazwyczaj w naszej nauce, parę i pseudonauce dla "apriorycznej rekonstrukcji" nieistniejącego ciągu tradycji, który zaowocował obaleniem caratu przez bolszewików naturalnie - bo ten sukces zapisali oni, jednoznacznie i prawem kaduka na swoje konto. Tradycję tę stworzyć mieli myśliciele "postępowi", a więc także inteligencja dziewiętnastowieczna. Nie darzył jej szacunkiem car, nie wśród niej spodziewał się znaleźć zwolenników, wzajemnie, dla tejże inteligencji w jej odłamie okcydentalistycznym był car wschodnim azjatyckim satrapą, w odłamie słowianofilskim naleźycie nie wspierał rodzimych ideałów chłopsko-gminno-prawosławnych, dość, że nie był władcą akceptowanym; ani car Mikołaj I, ani żaden z trzech jego następców. Co nie znaczy bynajmniej, że inteligencja rosyjska generalnie była przeciw zasadzie jedynowładztwa. Raczej przeciwnie. Samodzierżawie generalnie uznawano w kręgach słowianofilskich i później, jeszcze powszechniej, panslawistycznych; wśród okcydentalistów ta idea mniej była akceptowana, lecz i nawet rewolucyjnym demokratom, np. Czernyszewskiemu, nie była obca, on to proponował pozostawienie przy władzy cara nawet pewien czas po... rewolucji. Jak więc pogodzić, czym wytłumaczyć opozycyjność rosyjskiej inteligencji z jej jednoczesnym przywiązaniem do modelu władzy niezbyt dawno w końcu wyrosłego w rosyjskiej tradycji, bo stworzonego przez Piotra I? Odpowiedź może być tylko jedna. Władza carska dla wielu, dla przeważającej liczby rosyjskiej inteligencji, mimo swej anachroniczności, policyjnych metod, antyliberalizmu, szalejącej cenzury itp., itd., była gwarancją, że Rosja osiągnie swój cel, wykona swoją misję, innymi słowy - opanuje znaczne obszary Europy i Azji, stanie się wszechświa-

towym potężnym mocarstwem - Trzecim Rzymem. W formułowaniu tej myśli inteligencja znacznie wyprzedziła carat, który bodaj do tak dalekich wniosków nigdy nie doszedł.

To właśnie inteligencja rosyjska w początkach panowania Mikołaja I zaczęła głosić romantyczny nacjonalizm, którego ofensywnemu charakterowi przeciwstawiana była oficjalna koncepcja władzy, stojąca na stanowisku obrony status quo. W tym czasie o misji Rosji wśród Słowian myślał nie car, który zmierzał raczej do izolacji Rosji, lecz właśnie inteligencja.

Oczywista jest rzeczą, że wszelka imperialna ekspansja Rosji zaczęła się i kończyła na Polsce, choć nie szczędzono argumentów o konieczności uczynienia rosyjskim i Konstantynopola. Dypłomatą z czasów Aleksandra I pisał: "Na zniszczenie Polski, jako potęgi politycznej, składała się cała niemal historia Rosji. Systemat zaborów w Turcji był tylko systematem nabytków terytorialnych i ośmielę się rzec, drugorzędnych... Wszak dla pograżenia Rosji na wieki w barbarzyństwie i dla uczynienia z niej mocarstwa azjatyckiego Napoleon zamierzał odbudowanie Polski; wszak dla zapewnienia Rosji dostojnego stanowiska wśród najbardziej cywilizowanych narodów Europy poprzednicy W.C.Mości pragnęli zdobyć..."

Gest cara Pawła odwiedającego w celi Kościuszkę i uwalniającego go z więzienia, nadanie przez Aleksandra I konstytucji Królestwu, oczekiwały się gwałtownej krytyki w Rosji. "Chcesz, Najjaśniejszy Panie przywrócić dawne Królestwo Polskie? Lecz czy to odbudowanie jest zgodne z prawem państwowym Rosji? Czy zgodne jest z tymi świętymi obowiązkami, z naszą miłością do Rosji i z samą sprawiedliwością? Powiedzą, że Katarzyna bezprawnie podzieliła Polskę! Lecz ty postąpiłbyś jeszcze bezprawniej /.../ Wzięliśmy Polskę mieczem. Oto nasze prawo..." - przedkładał cesarzowi historyk Karamzin.

Odmiennosc kulturowa i religijna dwóch sąsiadujących krajów była zawsze zresztą przedmiotem wzajemnej niechęci. Rosjanie zawsze nie darzyli nas sympatią, a my, w swej wielkości i zadufaniu, prawie aż do rozbiorów nie dostrzegaliśmy problemu rosyjskiego, nie mieliśmy więc i doktryny na temat Rosji. Rosjanie myśleli o Polsce znacznie częściej i więcej, w określonym kontekście. Kucharzewski przytacza fragment kroniki z monasteru Piecherskiego, w którym opisany jest, najmiutko jeszcze, główny wróg ludu prawosławnego: "... przy surowych ćwiczeniach klasztornych mnisi zobowiązani byli stać przez całą noc w cerkwi na modłach. I oto raz świątobliwy mnich Matwiej /.../ dostrzegł, iż po cerkwi chodzi bies w postaci Lecha i rzuca kwiatki na mnichów. Do kogo kwiatek przyłgnie, ten chwilę postoi, osłabnie i wymyśliwszy jaki pretekst, idzie z cerkwi spać do celi."

Miała Rosja okres mody na Polskę, kiedy to dwór moskiewski chodził ubrany w kontusze i mówił po polsku, nie miało to jednak głębszego znaczenia - z Napoleonem walczyli Rosjanie ubrani także na modłę francuską, nie mający trudności w porozumiewaniu się z przeciwnikiem w jego własnym języku. Od Piotra Wielkiego, którego panowanie zbiegło się z czasami saskimi w Polsce, wzrost siły i myśli imperialnej Rosji odpowiada naszemu upadkowi. W końcu Katarzyna dokonała zaboru części polskiego terytorium i od tego momentu na straży tych zdobyczy stała oświecona część narodu rosyjskiego.

Niewielu mieliśmy "przyjaciół Moskali". W czasie oszalałej kampanii przeciw Powstaniu Styczniowemu pozostał nam jeden sojusznik - Hercen, sam subtelny okcydentalista, Turgieniew, budził niesmak kwestując w europejskich stolicach na rzecz rosyjskich żołnierzy walczących z polskimi bandytami. Puszkין w czasie wojny polsko-rosyjskiej 1831 r. też zgrzeszył tzw. "trylogią antypolską", w której gromi Europę za wtrącanie się w "rodzinny spór domowy", między Rosją a Polską. "Przeszedł dawno los tę naszą starą waśń". /Zeby uniknąć zarzutu jednostronności muszę napisać, że replikował Puszkiniowi ostro z

syberyjskiego zesłania Odojewski, dekabrysta - swoją drogą, co za czasy, obecni więźniowie Gułagów nie mają jakoś ochoty na literackie polemiki wierszem/.

O wrogości Dostojewskiego do Polaków i jego mesjanistycznej koncepcji Rosji powszechnie wiadomo. Ale Dostojewski, to także projekty zdominowania całej słowiańszczyzny, panowania nad Europą, zawładnięcia Wschodem. Przecież Rosja "...nie jest im /pozostałym krajom słowiańskim - przyp.aut./ równa pod żadnym względem - ani każdemu kraikowi z osobna, ani wszystkim razem wziętym. Olbrzymi Guliwer mógłby, gdyby chciał, zapewnić Liliputów, że jest im równy pod każdym względem, ale to byłoby przecież oczywistym nonsensem" - publicystyka pisarza pełna jest podobnych rozmyślań. Rosja ma wg niego służyć ludzkości, poświęcić się dla jej dobra przejmując nad nią kierownictwo, oczywiście realizując nieświadomione dobro tejże ludzkości, z którego ona sprawy sobie nie zdaje tkwiąc w błędnym modelu cywilizacyjnym. Przykłady podobnych poglądów wśród rosyjskiej inteligencji można mnożyć w tysiące. Dadzą się one psychologicznie wyjaśnić. Zniewolony duchowo, pozbawiony swobody myśli inteligent rosyjski, poddany ciągłej inwigilacji totalitarnego systemu władzy carskiej, kompensował poczucie własnej bezsilności wiarą w potęgę swojej ojczyzny, poczuciem własnej wyższości, jako przedstawiciela narodu obdarzonego określoną misją. Mechanizm to zresztą nie nowy, powtarzany we wszystkich totalitaryzmach.

Polska - Judasz Słowiańszczyzny, Konstantynopol - rosyjaki, bo prawosławny, Europa, której liberalny model wolności odebrał wszelkie wartości duchowe, katolicyzm - wiara, w której nie mieszka już Chrystus: to wszystko argumenty, jakimi uzasadniano konieczność ekspansji międzynarodowej carskiej Rosji. W tym miejscu potwierdzić chyba należy słuszność reprezentowanego na wstępie stanowiska Lednickiego. Miejsce prawosławnego Chrystusa zajął diabeł, władcy Rosji głoszą - jednak niezmiennie, że dysponują wyższą prawdą i że ich obowiązkiem jest prawdę tę dać /siłą, prośbą, groźbą, podstępem/ światu. Władcy twierdzą tak nadal i nadal do tego dążą. A współczesna inteligencja rosyjska?

Zarzuca się władzy sowieckiej, że swoją polityką demograficzną i narodowościową, systemem kształcenia, propagandą i warunkami życia, w końcu propagandą zniszczyła społeczeństwo rosyjskie. Biorąc pod uwagę wysoką kulturę tego społeczeństwa, jest to niewątpliwie zbrodnia przeciwko narodowi. Jeżeli jednak przy tej okazji niejako wykozerowano, choćby w części, imperialne polakożerstwo w świadomości wykształconych Rosjan, jeżeli władza, obojętne, czy kontynuująca cele caratu, czy stawiająca sobie nowe, nie znajdzie poparcia, nie mówiąc już o stymulacji dla swych działań wśród intelektualistów, to jest to niewątpliwie ważne, aczkolwiek niezamierzony efekt polityczny. I jeżeli ta sama władza świadomie i propagandowo nawiązuje do tradycji europejskiej marksizmu, obraża się na każde wspomnienie o Rosji azjatyckiej, nie może jednocześnie utrzymywać sposobu rządzenia właściwego wschodnim aatriplom. To znany problem tego państwa. Społeczeństwo sowieckie jest komunistyczne, bo nigdy nie akceptowało w swej świadomości europejskiej inatytycji własności, bo brak w tym języku pojęcia prywatności; jest imperialne - ale powierzhownie, bo odczuwa ze swej wielkości dumę /musi być z czegoś dumne - to warunek istnienia/, lecz chętnie oddałoby ją za np. poprawę warunków życia i nie jest już nacjonalistyczne, bo naród-lud /określany w tym języku jednym słowem - narod /broń resztek swej tożsamości i nie stać go na ekspansjonizm. Co więcej, zrozumiał, że tożsamość tę może mu pozwolić ocalić nie władza, lecz, że pomoc może przyjść z zewnątrz, w formie przynajmniej wymuszenia na tej władzy pewnej liberalizacji, co w końcu, niespiesznie i pokrętnie, ale od czasów Stalina z pewnością po-

stępuje. Jednym słowem, rosyjski inteligent zobaczywszy skutki zaborczych snów swoich przodków zdumiał się i przeraził. Imperialny nacjonalizm, tak istotny dla mentalności rosyjskiego inteligenta XIX wieku, nie znajduje kontynuatorów wśród intelektualistów współczesnej Moskwy i Leningradu, choć często władza szuka z nimi porozumienia właśnie na tej płaszczyźnie.

BARBARA BARYŁA

ROBERT ZWYCIĘZCA

Nie Józef, nie Stachu, nie Kaźmirz, nie Tadeusz nawet, ale Robert właśnie. Na fart, na szmal, na dobry los. Żebyś żył łatwo, szumnie, znaczy się - nowocześnie.

Jednego razu przylatuje szef na warsztat, kable każe ciąć. Ciąg nam kable nie pierwszozyna, ale po cholere krótkie takie - metr niecały? Najpierw my myśleli, że złomu trza narobić, bo tym w biurowcu coś się w papierach popieprzyło, więc cieli my stare, aluminiowe. Na to przyleciał, że mają być nowiutkie, prosto z bębna, linka pleciona, siedemdziesiątka i trzydziestka piątka. Do czego takie? Dziesiątką jeszcze ostatecznie możnaby panienki po dupach łać, choć i od tego pręga zostaje czarna. Ale siedemdziesiątka kości łamie. Jeden odmówił, napyskował, że do draństwa ręki nie przyłoży. Ale my ludzie zwyczajni: ciąć każą - tniemy, budować - budujemy, rozwalać - burzimy. Tak było.

- W którym to roku było, tato? - pyta Robert.

- Żeby to ja pamiętał... W sześćdziesiątym dziewiątym, albo ósmym, za Gomulki jeszcze. Premii nawet nie dali, choć ciężarówkę całą my nacięli pał takich z kabla nowiutkiego, co go magazynier właśnie fakturować miał na budowę.

- A ten jeden, co odmówił?

- A nic... On zapomniał, szef zapomniał, wszyscy zapomnieli. O takich sprawach zapomnieć idzie. Po co pytać za wiele, my ludzie zwyczajni...

Ile lat miał wtedy Robert? Pięć, albo i sześć; dość, by mgliście zapamiętać niezrozumiałe ojcowe opowieści. W Dniu Cięcia Kabli wrócił z roboty pijany jak nigdy i nie dał Boże nawinać mu się wtedy pod rękę. Albo było to jeszcze kiedyś indziej - trochę przedtem, może trochę potem.

Żydy wszystkimu winne!

Bo jeśli nie oni, to kto? Kto? - pytam.

Najświętsza Panienko... I co dalej? Przecież Ty nigdy nie odpowiadasz na pytania ludzi zwyczajnych, ale możemy ja przynajmniej wypowiedzieć w naszej modlitwie, w naszym niemyim płaczu, grubym przekleństwie. Ciszej stary, dzieci się obudzą! Pamiętka pierwszej komunii świętej, przyżółkła, z chłopczkami o cherubinowych buźkach za szkłem: Franciszek. I nowomodna, w plastik wprasowana: Robert, a za nim młodszy drobiazg. Co jeszcze więcej można było zrobić, czego się jąć? Cośmy jeszcze zaniedbali, czymżasmy zgrzeszyli?

Strzelają do ludzi.

Będzie wojna. Przyjdą Niemce. Nie, to tylko stoczniovcóm robić się nie chce. Chuligany i niszczycciele. Tak, strzelają do ludzi. Władza jest mocna. Żydy wszystkimu winne. Zrobiły żydy podwyżkę, przelały żydy grudniową krew. Bo jeśli nie oni, to kto? - pytam. Przecież władza jest silna. A jeśli jej nie stanie, przyjdą Niemca bez żadnej wątpliwości.

Co z tego Robertowi, prócz ułamków wspomnień mglistych, choć mrocznych? W innych wzrastał czasach, lepsze jemu świeciło słońce. Pomożecie? Pomożemy! Ojciec dostał podwyżkę, potem jeszcze jedną. W szkole było wesoło, w telewizji były westerny. Nowy blok. O rany, jak tu wysoko, jak fajowo! Druga Polska. Ojciec zostanie majstrem, mama pójdzie do roboty, kupimy sobie syrenkę albo nawet małego fiata. Gierek obiecał, Gierek da. Co mi tam będziesz tato opowiadał o cięciu kabli, przyjsciu Niemca, albo o innych czeź rzadziej wspominanych Pamiątkach. Tak jest, pomożemy na pewno! Mocny rytm zagłuszy tamto coraz słabsze echo. Do domu z kluczem nie szyi. Zrobiliśmy co należało, niczegośmy nie zaniedbali, wykorzystamy swoją szansę. Kto by tam zawręcał sobie głowę duperełami? Aby rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej.

- Co to są warchoły, tato?
- Odczep się...
- Ludzie zwyczajni, robotnicy?
- Więc kto? - pytam.
- Po co pytać za wiele, my ludzie zwyczajni...

I tyle, prócz tego, co w gazetach. Nie, nie, nie! Mocny rytm, a nie tamto echo. Już niedługo będę miał osiemnaście lat. Robić aby zarobić. Tato pojedzie na zagraniczną budowę, ja skończę technikum komputerowe, będę naciskał najnowocześniejsze guziki na najnowocześniejszym pięttrze najnowocześniejszego wieżowca w nowoczesnej stolicy pracącego do nowoczesności kraju. Sukces. Darek będzie pilotem odrzutowca, Sobek mechanikiem od mercedesa, Radek - Jackiem Gmochem, a Ewa wystąpi w telewizorze. Młodzież z partią, partia z młodzieżą. I kupimy sobie... Co sobie kupimy, my ludzie zwyczajni? Nadzwyczajni przecież, skoro wokół tyle samochodów, komputerów i czego tam jeszcze. Na hajc, na merc, na rytm, na fart, na szpan i na szmal. Polak potrafi. Jeśli my się nie przebijemy, to kto i z czym się przebije w tej zawrotnej grze o jutro? - pytam.

Pierwsza praktyka Roberta - ucznia technikum komputerowego. Robić aby zarobić. Pośpiech przed przecięciem wstęgi. Wszyscy do dekoracji i porządkowania terenu, szczeniaki także! Przecież zapowiedział swoje dostojne przybycie sam... Wiecie, rozumiecie. Szybko zasypać te rowy, położyć świeżą darni, choćby i jutro zwiędło. Dynamicznie do przodu! Darek, Sobek, Radek i Ewa - patrzcie, puścili spych aby zniszczyć trzy szwedzkie spawarki z taką elektroniką! Ze ten kierowca nie stenął, nie pomyślał, że ten kierownik... Coś ty głupi, abo to twoje? Czy się stoi, czy... Gierek bogaty, Gierek da. Robić aby zarobić.

Więc co to są warchoły?

Warchoły, to są ci, którzy przeszkadzają mi szybciej dojść do hajcu, szpanu, szmalu i fartu. Inni już mają aute, meją swoje guziki do naciskania, czy starczy dla mnie? Przecież oni wiedzą najlepiej, przecież oni podejmują zawsze słuszne decyzje. Wiedza jest mocna. Czy dogonię, kiedy dookoła coraz więcej kolejek? Idź do Gierka, da ci cukierka. Warchoły? A może znowu żydy? Trzeba się spieszyć, takie jest prewo epoki. Łokciami? Nie, nie, nie! Nigdy nie będę ciął kabli, tek jak ty, tato.

Strajk.

On jest nawet fajny ten Wąsaty. Gdzie się teki uchował? Przecież wszystko miało być do przodu i jek w gazecie. Jeden lud, jeden cel, jedna partia. Możemy nie chcieli słuchać siebie nawzajem pośród okłasków? Skąd u nas takie słowo: strajk... Darek, Sobek, Radek i Ewa - patrzcie: nie biją, nie strzelają. Niemce nie przychodzą! Ale ubaw, ele jaja, ale afera. Strajk. Zwyciężyliśmy!

Teraz im pokażemy, teraz się odegramy!

Solidarność.

Precz z tym starym próchnem!

Niech żyje Wąsaty, wyrzucić prominentów, wolne związki i wolne soboty, Druga Japonia, mniej robić - więcej zerabiać, każdemu po równo. Aby Polska była Polską. Piszcie prawdę!

Ty Lechu decyduj i rozliczaj, my cię poprzemy. Dziesięć milionów. Jednomyslnie. Bóg jest z nami, Bóg poprowadzi.

Tylko dlaczego corez więcej kolejek? Przecież wszystko miało być moje, tak obiecywali. Skoro wiedzieli najlepiej i zawsze podejmowali najślusniejsze decyzje, to teraz trzeba ich tylko jeszcze mocniej przycisnąć, a dadzą. Tak jest, dadzą na pewno wszystko, co nam się należy. Mocniej, śmielej, ostrzej. Wydrzeć im z gardła.

Dyplom technikom komputerowego. Tylko, że już nie ma komputerów. Kto ukradł moje najnowocześniejsze miraży na najnowocześniejszych piętrach? Z fiata został tylko klakson, z wieżowca szkielet ozdobiony żółtą tablicą: "budowa wstrzymana". Na kartki? Dla mnie nie starczy? Kto mi to wszystko zabrał? Warchoły? Żydy? Niemce? Urzędasy? Białe rączki? Oni? Przecież jest wolność, przecież zwyciężyliśmy, przecież Wąsaty mówi, że idzie ku lepszemu. Polak wytrzyma. "Solidarność"? A kto jest solidarny ze mną, z moją rozburzoną nadzieją osiemnastolatka, któremu pokazano przez szybę kawałek lepszego świata? I po co te wasze prawdy na powielaczu, kiedy nie ma ani furtu, ani szmalu, ani dobrego losu.

Nie ma nic.

Egzamin dojrzałości. Mogę najwyżej naprawiać stare redia, albo próbować za fizycznego jak ojciec. Mieszkanie za dwadzieścia lat. Kochać się w krzakach. Niepotrzebne pokolenie, utrapiony przyrost. Jak Darek, jak Sobek, jak Radek, jak Ewa. Nejwyżej na strajk albo na wieś. Kiedy nadejdzie znowu Dzień Cięcia Kabli?

A może jeszcze mocniej przywalić, netupać, dopieprzyć? Za łagodny jesteś Wąsaty... Za stary, za kościelny. Młodzież z partią - się rozliczy. Niech dadzą! Ze nie mają... Bajer. Jest nowa wiara: nie wierzyć nikomu! Rozgonić wszystkich. Żeby Polska w ałę rosła, trzeba wódza, a nie... Tak, ktoś przecież wie lepiej, ktoś przecież musi być mądrzejszy od nas; zawsze tak było. Może Wąsaty, może generał, może Papież, może kto bądź. Raz z tym skończyć. Ze mordę. Wydrzeć z gardła!

Będzie gorzej?

Czemu trzymają nas tak długo pod tym ostrzałem, w niepewności. Idzie zima. Ludzie mówią... Przyjdą Niemce albo Ruskie. Nie lepiej ci było Wąsaty siedzieć w swojej dziurze? Darek wywiął do Austrii, Sobek na budowie w Czechosłowacji, Radek gdzieś przepedł, Ewa szyje w prywaciarza. Każdy jakoś się dekuje. Przegraliśmy. Czemu nas tak trzymają, do czego mamy dojrzeć, co zrozumieć?

Wojna.

Władza jest mocne. Maszyny na gasienicach. Stal. Wszystko nam zabrali, nawet tę odrobinę krzyku i tupania, jaka jeszcze została niepotrzebnemu pokoleniu. Nawet nie gniew - bezsilność. Co zrobić, gdzie uciec? Ciebie też wyprowadzili w pole, nie pomogła ci twoja chytryść, Wąsaty. Kto nam to wszystko zabrał, co jeszcze więcej można było zrobić, czego się jąc? Cośmy jeszcze zaniedbali, czymżeśmy zgrzeszyli?

Strzelają do ludzi.

Najświętsze Panienko... Przecież Bóg miał być z nami i Papież także. Co zostało? Grube przekleństwo - płacz bezsilnych mężczyzn. Tyl-

ko tyle. Ja się boję, ty się boisz, my się boimy. Stel na gąsienicach. Zedekować się cicho, zapomnieć. Żadnych pytań. My, ludzie zwyczajni. Zapewne to właśnie nazywa się nienawiścią.

Wezwanie.

- Może obywatel chciałby odbyć służbę u nas? Lepsze warunki, ciekawsze perspektywy, większe szanse.

I tak dalej... Żednego grubiaństwa, rzeczowy oficer, służbowo przychylna komisja. Przecież tam będzie ci łatwiej, jeśli już musisz włożyć mundur... Przecież i tak przegreśliśmy... Przecież i tak nic już nie ma... Co innego Darek, który niewiało w porę, a miał być pilotem odrzutowca. Opowiedzieć? Ale o ileż łatwiej zapomnieć.

- Teto, jak było wtedy, kiedy kazali ciąć kable?

- Po co mi pamiętać...

- Teto, w twoich czasach przecież tacy wierzyli w sens i powinność?

- Po co mi wspominać...

Przecież nic nie ma. Przecież nic nam się nie udało. Przecież wszystko nam zabrali. Przecież w nic nie wierzę, schowam sobie tylko portrecik Papieża pod służbowym materacem. Przecież niepotrzebne pokolenie. Przecież nie będę nikogo bił, tylko zadekuję się aby przetrwać. Nie moje sprawy, trzeba jakoś żyć...

Koszary.

Mieły być komputery, odrzutowce a nawet jakiś solidny model merca. Jest peła, tarcza i hełm. Pierwsze, niezgrabne ćwiczenia w posługiwanie się tym użytecznym sprzętem. Obietnica lżejszej służby z perspektywą przejścia do roli dobrze opłacanego funkcjonariusza. Kompania przereżonych dziewiętnastoletków. Te paręnaście miechów idzie jakoś odpekać, nie? Da się odkiblować...? Przecież my nie po to, żeby pełować, tylko ze strachu. Kompania nieopierzonych kogucików w drelichach typu moro. Długa, biała pała wzorem swych starszych kamratów nazywają "praworządnością". Taki fason chłopecki. Ale przecież my nie po to, żeby strzelać, tylko żeby jakoś przetrwać. Praworządność? A niechże to pies zje, albo perszing trefi!

Przecież my nie tacy straszni, my nie psy wojny. Czy wiecie co o nas opowiadają tam w cywilu? Rzetelni oficerowie, sympatyczni stersi koledzy, współtowarzysze szaczonej służby. Jesteśmy Polakami, takimi jak inni. Prawdziwymi Polakami. Trzeba ratować. Musimy trzymać się razem, chłopcy. Tam są warchoły, żydy, nieroby, lalusie i bieże rączki. Albo jeszcze gorzej... Czy wiecie kto nam to wszystko zebrał? Czy wiecie co jeszcze chcą nam zebrać? Tek, każdemu po równo. Jedna decyzja, jeden rozkaz, jeden marsz. Nie bój się, głupi, ten portrecik Papieża wcale nam nie przeszkadza. Czy wiesz jakie świństwo wygaduje Wąsety, także o Papieżu? Tek, masz prawo do swojej świętej nienawiści. My, ostatnie nadzieje umęczonego kraju.

Kolega precowicie ostrzy brzegi wielkiej plastikowej tarczy. Fabrycznie jest obła, teraz będzie przewle jak nóż.

- Po co ci to?

- Jek który z warchołów chwyci, żeby mi wyrwać, to załatwi se łepę. Radzę ci, zrób to samo, już niedługo się zaczniesz.

Nie, to bajki, że przed ekcją poją gorzałą albo tumenią narkotykami. Przed akcją długo jedzie się autokarem albo i zwykłą suką. Podrywają nas na zbiórkę o świcie, ale jazda rozpaczliwie się wlecze, prowadzi okrężnymi drogami. Co chwila kolumna zatrzymuje się, oficerowie pogadują między sobą, czasem zaczynają się biegać z wozu do wozu, nareszcie przychodzi oczekiwany rozkaz i jedziemy wolno dalej, aby za chwilę znów rozpocząć nerwowy postój. Może zawrócimy, e może

to już tutaj? Jedziemy w nieznaną, jedziemy bez sensu. Wstaje wiosna - słońce i w zamkniętych pudłach robi się duszno. Rynsztunek uwiera. Warchoły podobno powiadeją, że wiosna będzie nasza, to znaczy - ich. Nie ma śniadania ani wiadomości. Jesteś sam ze swoimi myślami i ze swoim strachem - człowieku!

Zdrętwiali wyładujemy się z aut na jakimś pustym, bezludnym placu. Rozprostować kości, nareszcie! Pić. Jest tylko trochę suchego prowiantu, albo od razu trzeba ruszać biegiem na wyznaczone pozycje i tam długo a beczynnianie wystawać pod opadającym już ku zachodowi słońcem. Strajk? Demonstracja? A może tylko zbyt tłumna msza w jakimś kościele na przedmieściu? Nic nie wiadomo... Ale my przecież nie po to, żeby katować, tylko żeby było łatwiej. Zadekować, przetrwać, odkiblować. Przecież nikt nie wierzy w sens ani powinność. Przecież wszystko nam zebrał, niepotrzebnemu pokoleniu, Jakiego wrażliwi? Dobrze chłopcy, krzycicie, tupcie, naciskajcie! My byśmy tak samo, gdyby nie los, gdyby nie papiery, gdyby nie moro, gdyby nie "prworządność". Wiosna nasza! Wydrzeć im z gardła! Wszyscy mamy prawo do naszej świętej i tej samej nienawiści. Może wreszcie stanie się coś strasznego i nieodwołalnego, na co wszyscy czekamy od lat, do czego modlimy się w bezsenne noce koszarowe.

Postoiśmy przestępując ze zdrętwiałej nogi na drugą obolałą. Jeszcze tylko trochę będziemy się pocić w zachodzącym słońcu, chwilę pomęczymy się o suchym pysku, przetrwamy. Polak wytrzyma, prawda? Jeszcze jeden dzień do upragnionego zakończenia służby, co ma być lżejsza, krótsza i bardziej obojętna. Każdy musi żyć, nie? Jest jak jest. Jeszcze krzyczą... Przecież my tylko po to aby pokazać, że władza silna, odstręczyć warcholstwo od jakichś wygłupów. Jest nas dużo, my są mocni! Nie macie szens chłopcy, dajcie spokój tej bieganinie, idźcie wreszcie do domu, niech każdy zadekuje się jak potrafi. Wąsaty jednakowo zawiódł nas jak i was. Tak samo jak oczukali ci, co mieli wiedzieć lepiej i podejmować jedynie słusne decyzje. Jeśli jest jakaś "Solidarność", to tylko solidarność ludzi niepotrzebnych.

Kamień?

A może to tylko czarny ptak od strony sfelowanego, choć niewidoczny stąd jeszcze tłum. Nie, to przypadek, pomyłka, albo najwyższy wygłup. Przecież tacy sami wyprowadzeni w to puste, bezsensowne pole Polacy. Polak z Polakiem? Przecież tam może być Darek, Sobek, Radek, Ewa albo nawet tato. Będziesz bliżej Ewę? Ojciec rzuci w ciebie kamieniem?

Przecież to nie moja sprawa, niech się bije kto chce.

Gestapo! Gestapo!

Rany boskie, tam z przodu już walczą!

Jeśli zaatakują, pomacham tylko pałą na postrach albo ucieknę. Przecież ja nigdy nie widziałem krwi. Jeśli coś się stanie - zemdleję. Ludzie, przestańcie rzucać, przecież to wszystko nie ma sensu, przecież to i tak pic...

To już nie krzyki, to burza.

Słońce zaszło.

Trzeba ruszyć, ratować tych z przodu zaatakowanych przez warcholstwo. Albo uciekać. Czemu wioząc stoimy? Czemu stąd nic nie widać? Ludzie, przestańcie się obrażać, przestańcie podskakiwać, przecież jest jakaś granica. Ludzie, bo pójdziemy naprzód! Lepiej niż OMO pierze... Pójdziemy, przegonimy ich trochę i zaraz będzie spokój. To tylko garstka warcholów, nic więcej. Ludzie zwyczajni pójda do domów, nas zawiozą do koszar na wzmocnioną kolację. Jest jak jest. Dostyc tego, ruszajmy! Oficerowie drą się: stać! Stać w miejscu, czekać na rozkazy. Kamień we mnie. Rany boskie! Tarcze! Popłoch, zamieszanie. Stać, nie ruszać się! Stać, bo będą strzelać! Oficerowie jak wście-

kłe psy. Dlaczego nie wolno nawet osłonić się tarczą? Ten z prawej krwawi. Może to Darek albo Radek, albo ktokolwiek. Taki sam wystraszony, umundurowany kogut ze swoją do niczego nieprzydatną "prawo-rządnością". Będę rzygał. Coraz więcej kamieni. Gestapo! Stać, nie ruszać się, wy tacy, owacy! Czemu trzymacie nas pod tym deszczem kamieni, do czego mamy dojrzeć, co zrozumieć? Stać, czekać na rozkazy! Ludzie, co robicie? Przecież tacy sami Polacy, niepotrzebne pokolenie, przecież miało być tylko dla picu, żeby przetrwać, odkiblować, żeby było łatwiej. Ktoś z naszych pada. Skurwysyny! Żydy, warchoły, bandyci! Zabili kolegę! Teraz ja, teraz na pewno leci już mój kamień rzucony celną ręką Derka, Sobka, Radka, a może i Ewy. Bić! Bronić się! Wynoszą krwawiącego chłopaka, tego co ostrzył tarczę. Jeszcze jeden. Rany, teraz ja! Czemu stoimy!? Co jeszcze mamy pojąć, do czego dojrzeć? Przecież wiemy już wszystko. Naprzód! Naprzód! Naprzód! Bić Darka, Sobka, Radke, Ewę, bić wszystkich, bić kogokolwiek!

Bić eby zapomnieć.

Kiedy padł rozkaz poszli lewą, żelazną rzeką. Dzielni chłopcy, choć to ich pierwsza poważna akcja. Tek trzeba. Ocaliliśmy. Zwyciężyliśmy. Pochwała przed frontem kompanii. Robert - zwycięzca.

JERZY SURDYKOWSKI

/Wyróżnienie w konkursie KIK /

Cedry Libanu

"Pokochać Liban, to nietrudne, wystarczy raz przyjechać" - mówi do mnie brodaty biskup i uśmiecha się łagodnymi oczyma. Rozmawiam z nim o jego kraju, o losie jego Kościoła. Jest spokojny, przyjechał do Peiry przed tygodniem i wraca do swoich za parę dni.

- Jesteśmy tam już piętnaście wieków, przeżywaliśmy trudne chwile, teraz nadeszła kolejna próba, pokładamy nadzieję w Panu.

Cóż, ja nie mogę tam pojechać. Mogę tylko przymknąć oczy i wywołać z pamięci to wszystko, co kojarzy się z "Mlecznobielym" - bo to właśnie znaczy nazwa Liban. Jego odwieczne porty: Sidon /dziś Saïda/, Tyr, w którym Chrystus uzdrowił córkę niewiasty chananejjskiej, Tripoli. Zbocza gór ongiś pokryte cedrami: "Drzewa Jahwe meją wody do syta, cedry, które zasadził..." /Psalm 104/. Dzisiaj tych pięknych drzew - o których Biblia mówi, że sadził je Pan - zostało zaledwie kilkaset, ale za to powiewają na libijskiej fladze. Hermon pokryty śniegiem - śpiewa o nim psalmista: "Ty stworzyłeś północ i południe - Tabor i Hermon wykrzykują radośnie na cześć Twojego imienia". Klasztor maronitów przytulone do skalistych zboczy gór, ruiny fortec z czasów wypraw krzyżowych, które przeciwstawiły sobie Saïedyna i Ryszarda Lwie Serce.

Terytorium Libanu to elipsa o szerokości od 50 do 75 km i 200 kilometrach długości. Kraj od północy i wschodu wciśnięty w Syrię; na południu graniczy z Izraelem; część zachodnie przylega do Morze Śródziemnego. Sam Bejrut wyrasta na nadbrzeżnych skałach, w których morze wyżłobiło jaskinie zwane gołębiymi grotami. Długi łańcuch górski Mont Liban biegnie z południa na północ kraju. Jego zachodnia część wystawiona na wilgotne, morskie wietry i poprzecinane rzekami jest gęsto zaludniona. Natomiast wschodnie zbocza suche i pustynne opadają gwałtownie aż do stóp doliny Bekaa. Ta słynna dziś dolina oddziela Mont Liban od drugiego, równoległego łańcucha górskiego zwanego Anty-Liban, który tworzy naturalną granicę z Syrią. Wąski, nadbrzeżny pas śródziemnomorski przechodzi na północy w równinę Akkar, a na południu w równinę Saïdy.

Ta różnorodność pejzażu, to zetknięcie morza i gór, różnych dolin i pustyni pozostaje w całkowitej z sobą harmonii. A jeśli dodać do tego łagodność klimatu /średnią temperaturą w styczniu jest w Bejrucie 13°C/ i dużą ilość opadów, to jasne się staje, że Liban jest uprzywilejowanym przez naturę krajem Bliskiego Wschodu.

Ten górzysty kraj był przez wieki całe ziemią schronienia dla różnych wspólnot, które składają się na jego oryginalność etniczną i wyznaniową. Chrześcijaństwo: maronici, prawosławni, ormiańscy i muzułmanie: sunniccy, szyi, druzowie - różnorodne grupy współistniały obok siebie. Wśród zgody i niezgody przetrzymywali kryzysy, a idee utrzymania jedności kraju uzyskiwała powszechną akceptację. Afirmacja pluralizmu stworzyła naród libański.

Dzisiaj kraj ten znalazł się w sytuacji, w której wzajemne nienawiść nie pozwala na jakiegokolwiek porozumienie. Od dziesięciu lat Liban jest wielkim polem bitwy.



Przed trzema tysiącami lat na wybrzeżu Libanu Fenicjanie założyli /istniejące do dzisiaj/ porty. Najwspanialszym z nich był Tyr - główne miasto handlowe antycznego świata i niedościgły wzór dla wszystkich osad kupieckich powstających wokół Morza Śródziemnego. Biblie opiewa jego potęgę a prorok Ezechiel wieszczy mu klęskę: "Tak mówi Pan Bóg: Tyrze, tyś powołał: Jestem okrętem o doskonałej piękności. W sercu morza są twoje granice, budowniczy nadal ci doskonałą

piękność. Z cyprysów Semiru pobudowano wszystkie twoje krawędzie, brano cedry Libanu, by maszt ustawić na tobie /.../ Wszystkie morskie okręty zawijały do ciebie; aby prowadzić z tobą handel. Mieszkańcy Persji, Lud i Put służyli w twoim wojsku jako wojownicy. Tercze i hełmy zawieszali u ciebie. Dodawali ci świetności /.../ Juda i kraj Izraela prowadzili z tobą handel: ze towary dostarczeli ci pszenicę z Minit, wosk i miód i oliwę i belsem. Damaszek prowadził z tobą handel dzięki mnogości twoich wyrobów i mnogości twego wszelkiego bogactwa /.../ Arabia i wszyscy książęta Kedaru byli kupcami dla ciebie /.../ Steżeś się więc bogatym i wielce sławnym w sercu mórz /.../ i serce twoje stało się wyniosłe z powodu twego majątku. Dlatego tak mówi Pan Bóg: Ponieważ rozum swój chciałeś mieć równy rozumowi Bożemu, oto dlatego sprowadzam ne ciebie cudzoziemców - najsroższych spośród narodów. Oni dobędą miecz przeciwko urokowi twojej mądrości i zbezczeszczą twój blask. Zepchną cię do dołu i umrzesz śmiercią nagłą w sercu mórz" /Ez. 27 i 28/.

Miało się to proroctwo sprawdzić w 332 r p.n.e. Aleksander Wielki bezskutecznie oblegał przez 7 miesięcy chronione wysokim murem i wodą miasto. Aż wpadł na pomysł zrobienie nesypu, po którym przeprowadził swoje maszyny wojenne. I dokonał tego, co nie udało się, mimo trzytnetu lat oblężenia Nabuchodonozorowi - zdobył i zniszczył Tyr. Na trzy wieki kraj dostaje się pod dominację grecką, potem rzymską i wreszcie bizantyjską. W 636 roku osłabione Bizencjum nie wytrzymuje naporu Arabów i ustępuje im miejsca w Libanie. W czasie wypraw krzyżowych kraj przechodzi w ręce chrześcijan, którzy utrzymują się tam przez dwa stulecie prawie, mimo zwycięstw legendarnego Saladyna. W XIII wieku Liban zajmują Mameluci, którzy w dwieście lat później /1516/ muszą ustąpić przed wojskami Turków otomańskich. Turcy pozostają w Libanie aż do I wojny światowej.

Od XVI wieku emirowie druzyjscy zdobywają sobie pewną autonomię, która przetrwała się nawet - w pewnych okresach - w faktyczną niezależność. Niektórzy z nich przechodzą - w tajemnicy - na chrześcijaństwo. Liban staje się ziemią azylu. W górach chronią się różne grupy ludzi skonfliktowanych z władzą centralną, czy to świecką czy religijną. Organizują się oni we wspólnoty społeczne i wyznaniowe, które złożą się w dziwny puzzle, jakim jest dzisiejszy Liban. Ewangelia sąsiadować będzie z Korenem, śpiewom dzwonów odpowiadał będzie głos muezina i naprzeciw dzwonnicy wznosną minarety.

Mozaika wspólnot libańskich jest jakby żywym zapisem historii chrześcijaństwa /e także islamu/. W wiekach średnich niemal każdy sobór pozostawiał po sobie "swoją" schizmę. Ślady tego przetrwały w Libanie do dzisiaj. W drugiej połowie neszego tysiąclecia przyczyną nowych rozłamów staną się unicy, którzy połączeni z Rzymem spowodują przyjęcie rytu rzymskiego przez część Chaldejczyków, Syryjczyków i Armeńczyków.

Najliczniejszą w Libenie grupą chrześcijan są maronici. Wywodzą się od św. Marona-pustelnika. Po śmierci świętego /V wiek/ zbudowano w miejscu gdzie żył ogromny klasztor dla ośmiuset mnichów. Nękani przez najazdy arabskie zakonnicy musieli jednek opuścić macierzysty klasztor i osiedlili się w górach Libanu, w dolinie malowniczej rzeki Quadisha. Dolina ta od wieków uznwana jest za świętą. Wyżłobione w jej zboczach grotty służyły za pustelnie dla kolejnych eremitów. Jeszcze teraz mieszczą się tam małe klasztory przyćwiezione do gór jak pudełeczka zapalek.

Ukryci w górach maronici żyli w całkowitej izolacji od Kościoła powszechnego. Dopiero w czasie wypraw krzyżowych nawiązali kontakt z Rzymem. W tym też okresie zadeklarowali swoją wierność Stolicy Apostolskiej. W 1584 roku założono w Rzymie Kolegium Maronickie, którego zadaniem było kształcenie kapłanów. Ale maronici zachowali odrębność: mają własny język liturgiczny /syriacki/, a ich przełożonym jest obierany przez księży patriarcha Antiochii. Przyjętym zwyczajem było,

iż każda wielka rodzina budowała swój własny kościół, w którym obowiązkowo kapłan pełnił również członka klanu. Księża ci, nieraz żonaci i ojcowie rodzin, wybierani byli na zebraniu wiejskim spośród mężczyzn czynnych cieszących się autorytetem w sprawach wiary. Teraz spośród lokalnych kandydatów biskup wybiera jednego, który po krótkim stażu w seminarium pełni swoje funkcje kapłańskie pracując jednocześnie na roli. Zakonników i księży kończących regularne seminaria, podobnie jak maronickich hierarchów, obowiązuje celibat.

Różne grupy wyznaniowe odgrywały zawsze ważną rolę w życiu politycznym Libanu. Musiała fakt ten wziąć pod uwagę uchwalona w 1926 roku libańska konstytucja. W oparciu o ustawy konstytucyjne sformułowano w 1943 roku Pakt Narodowy /podpisany przez różne społeczności Libanu/, który decyduje o podziale ważnych funkcji państwowych między chrześcijan i muzułmanów. Stanowisko prezydenta przypada maronitom. Szefem rządu jest muzułmanin-szyita, a przewodniczącym parlamentu - sunnita. Konstytucja wymienia 17 wspólnot religijnych, wśród których rozdzielone są miejsca w 99 osobowym Parlamencie, wybieranym w wyborach powszechnych.

W chwili obecnej muzułmańska opozycja kwestionuje słuszność postanowień Paktu Narodowego twierdząc, że demograficzna przewaga chrześcijan należy do przeszłości. Dane statystyczne nie są precyzyjne i różnią się mocno między sobą. Te, którymi dysponuje, wyglądają następująco: spośród 3 milionów Libańczyków około 1 milion 200 tysięcy to chrześcijanie; w tym 700 tys. maronitów, 135 tys. greko-katolików, 215 tys. greko-prawosławnych i 150 tys. armeńczyków. Najliczniejszą grupę muzułmańską stanowią sunnici - 450 tys., następnie szyici - 400 tys. i druzowie - 150 tys.

Druzowie są wspólnotą etniczno-religijną muzułmańską pochodzenia arabskiego. Ich główne skupiska to Liban, góry Szuf, okolice Hermonu, Syria i Galilea izreelska. Liczbę druzów ocenia się na około 330 tys. Ich tajemne religie łączą z sobą elementy islamu szyickiego z wierzeniami gnostycko-pogańskimi, indo-irańskimi i chrześcijańskimi. Prawie tysiąc lat temu egipski kalif al-Hakim /966-1021/ zniknął w tajemniczych okolicznościach, a jego uczeń ad-Derazi, który głosił, że al-Hakim był wcieleniem Ducha, znalazł posłuch w Syrii. Wyznawcy, których nazwano "druz" /od Darazi/, oczekują powrotu al-Hakima przy końcu świata. Dzielą się oni na "wtajemniczonych" i "niewiedzących", a ze księgi objawione uznają własne, tajemne pisma, Koran i Nowy Testament.

Od XVII wieku naczelną rolę wśród druzów odgrywali emirowie z dynastii Chihab. To oni, przez dziesiątki lat, starali się o utrzymanie równowagi między wspólnotami druzów i maronitów. Niestety, ostatni z wielkich emirów Bachir Chihab /który zresztą potajemnie przyjął chrzest/ popełnił serię błędów politycznych i opuszcza kraj. Skutki nie dają na siebie długo czekać. Przeciwwstawione sobie wspólnoty, podporządkowane w dodatku sprzecznym interesom Francji i Anglii, prowadzą trwającą 20 lat wojnę domową. W 1860 roku dochodzi do masakry sześciu tysięcy chrześcijan, co powoduje interwencję armii francuskiej, podjętą za zgodą mocarstw europejskich.

Dzisiaj na czele druzów stoi Welid Dzumbllett, który równocześnie jest szefem Socjalistycznej Partii Postępu i jedną z kluczowych postaci w życiu politycznym Libanu.



Od dziesięciu lat w Libanie trwa wojna. Czy jest to wojna religijna?

- "Częściowo tak - mówi mój maronicki rozmówca - ale trzeba pamiętać, że detonatorem była sprawa Palestyńczyków, która nałożyła się na konflikty między wspólnotami różnych wyznań".

Z końcem lat sześćdziesiątych i w początku lat siedemdziesiątych instalują się w Libanie usunięci z Jordanii Palestyńczycy. Zakładają

obozy cywilne, a potem i wojskowe. Jest ich 400 tysięcy, więc szybko tworzą sprawnie funkcjonującą strukturę militarną i stają się prawdziwym państwem w państwie. Inicjowane przez nich ataki przeciwko Izraelowi powodują natychmiastową reakcję Tel-Awihu: bombardowania obozów palestyńskich - ale także lotniska bejruckiego. Odwrotnie rajdy komandosów izraelskich gwałtownie podgrzewają atmosferę wewnętrzną, a bezradny libański rząd znalazł się w typowo patowej sytuacji. Z jednej strony Palestyniacy i przychylna im część opinii publicznej - z drugiej izraelscy komandosi. Taka sytuacja musiała doprowadzić do eksplozji. W 1975 roku w Bejrucie siły chrześcijańskie ścierają się z Palestynczykami. Walki szybko rozprzestrzeniają się na cały kraj, przeciwstawiając falangistom chrześcijańskim Palestynczyków i siły lewicy libańskiej, czyli głównie złożoną z Druzów partię Dżumblatta. Po stronie chrześcijan interweniuje Syria. Żołnierze syryjscy walczą wówczas przeciwko Palestynczykom i lewicowemu Ruchowi Narodowemu, w którym zasadniczą rolę odgrywał Dżumblatt. Potem Syria wprowadza do Libanu swoje wojska w ramach arabskich sił rozjamczych i instaluje się już na stałe w północnej części kraju, głównie w dolinie Bekaa. W 1977 roku zmienia sojusza sprzymierzając się z OWP i nowi alianci prowadzą wspólnie ofensywę przeciwko falangistom. Ofensywę tę wówczas wstrzymano na skutek interwencji Rady Bezpieczeństwa, ale w 1981 roku Syria podejmuje ją na nowo. Powiększa w ten sposób swój obszar okupacyjny, a przy okazji instalują w dolinie Bekaa wyrzutnie rakieta- wa SAM. Fakt ten zostaje uznany przez Tel-Awiv za naruszenie status quo.

Następuje kluczowa faza konfliktu. 6 czerwca 1982 roku Izrael rozpoczyna akcję: "Pokój w Galilei". Za tym kryptonimem krył się następujący plan: 1/ błyskawiczne czasowe opanowanie terytorium Libanu, 2/ wyparcie zeń kierownictwa politycznego i formacji zbrojnych Palestynczyków, 3/ stworzenie rządu libańskiego, który byłby w stanie zagwarantować pokój z Izraelem i wzajemne ułożenie stosunków na wzór egipsko-izraelski, 4/ wycofanie z Libanu wszystkich nielibańskich wojsk, czyli formacji syryjskich, palestyńskich i izraelskich.

Tel-Awiv liczy na efekt komplatnego zaskoczenia i rzeczywistość po czterech dniach walk z armią syryjską jego wojska zbliżają się do Bejrutu. Ale prasa całego świata podejmuje gwałtowną kampanię przeciwko izraelskiej interwencji, a w ślad za nią idzie kampania polityczna zachodnich demokracji. Mimo to udaje się Izraelowi doprowadzić do wycofania się z Libanu kierownictwa i zbrojnych oddziałów OWP /sprzęt ciężki zostaje na miejscu/. Z Bejrutu wycofują się także jednostki syryjskie: Wojska izraelskie niszczą wyrzutnie syryjskich rakiet SAM w dolinie Bekaa. Następnym celem Izraela było stworzenie sytuacji umożliwiającej utrzymanie pokojowych stosunków z suwerennym Libanem. Plan izraelski zakładał powstanie w Libanie rządu jedności narodowej, uwzględniającego interesy poszczególnych grup wyznaniowych i opartego głównie na falangistach chrześcijańskich i sunnitach. Wybór na prezydenta 34-letniego Bahira Dżemayela, przywódcy falangistów uważany był za poważny krok na tej drodze.

Dżemayel, który zrobił błyskawiczną karierę w swojej partii, wydał się zdolny do przeprowadzenia delikatnego i elastycznego manewru politycznego. Budził się nadzieja na rozwiązanie kryzysu libańskiego. Ale po 23 dniach sprawowania urzędu prezydenckiego Bahir Dżemayel ginie w zamachu. Jest to początek końca akcji "Pokój w Galilai". Wojsko izraelskie wchodzi do Bejrutu zachodniego. W odwecie za zamordowanie prezydenta falangiści przeprowadzają okrutną pacyfikację dwu palestyńskich obozów /Sabra i Chatila/, w czasie której ginie kilkaset osób. Następuje to na terenie kontrolowanym przez Izrael i odium spada na Tel-Awiv. W samym Izraelu opozycja organizuje 200-tysięczną manifestację protestującą przeciw polityce rządu. Teraz więcej mówi się o wycofaniu wojsk izraelskich, niż o konieczności uregulowania sytuacji w samym Libanie.

Nowym prezydentem zostaje brat zamordowanego - Amin Dzemayal. Formuje on rząd "technokratów", a funkcję premiera powierza muzułmaninowi Chafik Wazzanowi. W Libańczyków znów wstępnie nadzieja. Nastąpiło zjednoczenie Bajrutu: otwarto przejścia między dwiema partiami miasta - chrześcijańską i muzułmańską. Prezydent zdaje sobie sprawę z roli, jaką może odegrać w stabilizacji kraju armia; poświęca jej zatem wiele uwagi. Wprowadza obowiązkową służbę wojskową, reorganizuje dowództwo armii, wymienia oficerów zajmujących najważniejsze stanowiska. Równocześnie prowadzi partraktacje z Izraelem, które doprowadzają do podpisania układu libańsko-izraelskiego o warunkach wycofania obcych wojsk z Libanu/maj 1983/. Syria odmawia jednakowoż uczestnictwa w tym porozumieniu twierdząc, że obecność jej armii w Libanie została zalagalizowana przez Ligę Państw Arabskich.

W międzyczasie do Libanu skierowano jednostki amerykańskie, włoskie i francuskie, która zgodnie z planem amerykańskiego wysłannika spacyjalnego Habiba miały być gwarantem pokojowego rozstrzygnięcia konfliktów. Akcja sił międzynarodowych zakończyła się całkowitym fiaskiem. Po kilku skierowanych przeciwko nim śmiercionośnych zamachach*) - jako ostatni - opuścili Liban Francuzi/nota bene przed wycofaniem się Francuzi przeprowadzili jeszcze odwetowe bombardowania obozu szyitów w Baalbeck/.

W polityca liczą się przede wszystkim własne interesy. We wrześniu 1983 roku Izrael w sposób dość nieoczekiwany, manifestacyjnie, usuwa swoje wojska z okolic Szuf. Wtedy - pod bokiem stacjonujących jeszcze w Libanie sił międzynarodowych - dochodzi do masakry chrześcijan. Tragedia Szuf nie wywołała spacyjalnie głośnego echa w prasie światowej. Czyżby tym razem cena krwi była mniejsza? Nie było nawet protastu Rady Bezpieczeństwa. A przecież okrucieństwa popełniona w Szuf przerosły swym rozmiaram wszystko co do tamtej pory zdarzyło się w tej wojnie.

Opis wydarzeń w Szuf opublikował tygodnik "France Catholique", który jako jedno z nielicznych pism francuskich ostro zareagował na wieść o dramacie libańskich chrześcijan. Według patriarchy maronitów/dane ogłoszona na synodzie w Rzymie/ zginęło wówczas 3000 chrześcijan. Cyfra ta nie obejmowała jednak osób "zaginionych", o których już dziś wiadomo, że również poniosły śmierć. 5 października popłarani przez Syrię druzowie zaatakowali ponad 100 wiosek maroniokich położonych w ragonia Szuf. Zabudowania zrównano z ziemią, winnice, gaja oliwna i sady spalono. Wszystko miało ulac zniszczeniu, aby nigdy żaden chrześcijanin nie wrócił w to miejsce. 150 tysięcy bazdomnych maronitów opuściło rodzinną ziemię Szuf. Wydaje się, że wówczas powinno być oczywiste dla całego świata, że samo istnienie chrześcijan w Libania stoi pod znakiem zapytania. Z Trypolisu i Taharanu wiają fanatyczna, wzbierające w wichurę wiatry. Rycerze świętej wojny usuwają z tamtą ziemi - jak sami mówią - "chrześcijańską narosł". Używają w tym celu następujących środków: zastrzelania, przecięcie gardła, ćwiartowanie, palenia żywcem na rozżarzonych sztabach, przecinania za pomocą piły, bicie na śmierć, wieszania na hakach. /Kiedy piszę ten tekst, zastanawiam się, czy nie opuścić tych ostatnich zdań, bo brzmią tak jakos... "niasmacznie". Może to właśnie dobry gust po - wstrzymuje mass media i polityków przed zajęciem stanowiska w kwestii libańskiej/.

A oto kilka świadactw tamtych wydarzeń rozgrywających się, jak już wspomniałam, pod bokiem wszystkich sił międzynarodowych, w odległości kilkunastu kilometrów od koszar.

"Kiedy wpadli do naszego domu, schowałem się z moim młodszym bratem w kuchnię. Zastrzelili moją matkę, ojca, trzech braci. Zanim wrócili, żeby sprawdzić, czy ktoś się nie ukrył, posmarowaliśmy się krwią matki i położyliśmy się udając martwych. Udało się, wyszli ro-

*) W Libania zginęło 239 żołnierzy amerykańskich i 58 francuskich.

ześmiani i zadowoleni" /Nabil Al-Ackar, 14 lat/.

"Poderżnęli gardło mojemu mężowi na moich oczach, oderwali ode mnie dzieci i zrobili z nimi to samo. Potem zniszczyli dom i wszystko co w nim było". /Abdel Nom, 40 lat/.

Egzekucje często robili w kościołach.

Szuf miał być przykłusem i przestrogą dla chrześcijan.

A gra militarno-polityczna, w której stawką jest istnienie Libanu, toczy się dalej. Syria okazuje swoją niezadowolony z polityki, jaką prowadzi Dżemayel. Do ataków słownych dołączają się bombardowania Bejrutu. Artyleria ostrzeliwuje Bejrut z dwu stron: od północy, gdzie stacjonują wojska syryjskie i od południa, gdzie w "oczyszczonych" z maronitów terenach gór Szuf stacjonują druzowie Walida Dżumblatt. Dżemayel decyduje się pod presją tak silnych argumentów na dsleko idące ustępstwa. Między innymi godzi się na wejście do rządu Dżumblatt i Bahir Nabi - przywódco szyitów. Nie przyniesie to długotrwałych rezultatów, gdyż obaj świeżo powołani ministrowie wkrótce zaczną bojkotować sesję rządu, a Walid Dżumblatt powiedział nawet w jednym z wywiadów, że najlepszym wyjściem dla Libanu byłoby uśmiercenie prezydenta. Amin Dżemayel doskonale zdaje sobie sprawę, że w tej chwili klucz do bram Libanu trzyma Syria. Usiłuje zatem nawiązać względnie poprawne stosunki z Damaszkiem. Równocześnie jednak chce odbudować własną armię. Ogłoszono apel o mobilizację powszechną, na którą odpowiedziało jedynie 5 procent zdolnych do noszenia broni mężczyzn. Dlaczego tak niewielu? Odpowiedź jest prosta. Siła bojowa wiernych prezydentowi jednostek armii libańskiej jest i będzie żałośnie mała w porównaniu do sprzymierzonych wojsk druzyjsko-szyicko-syryjskich.

Izrael poniósł w Libanie dotkliwą porażkę polityczną. Izrael wraca do siebie. Koniec operacji ewakuacyjnej wojsk izraelskich przewiduje się na 1 czerwca. Z terenów, które już opuścili, wycofała się również armia libańska, nie chcąc prowokować walk z druzami i szyitami. Ci ostatni postępują swoją obecnością krok w krok za wycofującymi się wojskami izraelskimi.

A jaki będzie los zamieszkującej te okolice ludności chrześcijańskiej?

Czołówki europejskich gazet zapełniły się tytułami: "Piekło chrześcijan", "Kalwaria", "Wykorzenie", "SOS dla Libanu".

Chrześcijaństwo z okolic Saïdy, pamiętni losu jaki zgotowano ich braciom w Szuf, ratowali się ucieczką do jedyne go - jeszcze - nie zdobytego miasteczka chrześcijańskiego Jezziny. Ich domy splądrowane zostały zupełnie przez zwycięzców. 15-tysięczna Jezzina gości dziś 75 tysięcy ludzi. Nikłe siły milicji chrześcijańskiej nie będą w stanie bronić się długo w przypadku ataku. Prasa francuska opublikowała niedawno fotografię kobiety rozpaczającej nad zwłokami męża, oficera chrześcijańskiego, któremu odcięto głowę, oderwano ręce i nogi, a na piersiach wypalono krzyż.

Całkowite wyparcie chrześcijan z tego regionu pozwoli Dżumblattowi rozszerzyć swoją strefę aż do morza i zrobić ją jednorodną, czyli druzyjską.

Amin Dżemayel chce za wszelką cenę utrzymać państwowość Libanu. Stąd bierze się jego tak ostrożna i "miękką" polityka. Prezydent rozpoczął swoją ostatnią grę: zdanie się na łaskę i niełaskę wschodniego sąsiada. Sytuacja nieuchronnie grawitowała w tym kierunku. Damaszek nia wyrzekł się nigdy swych wielkomocarstwowych marzeń o wielkiej Syrii, której Liban byłby częścią. Tal-Awiw przez usta jednego ze swych polityków - Rabina - zapowiedział, że więcej do spraw wewnętrznych Libanu nie będzie się mieszał, a los chrześcijan pozostawia trosce ich europejskich współwyznawców. Nieudana akcja "Pokój w Galilei" kosztowała Izrael życie 648 żołnierzy, parę miliardów dolarów i kłopoty dyplomatyczne.

W Europie mówi się coraz częściej o podziale Libanu na kantona /na

wzór Szwajcarii/. Miałby to być jądny sposób na powstrzymanie dalszego rozlewu krwi. Jednakowoż sami Libańczycy odnoszą się do tej koncepcji raczej sceptycznie. Jak bowiem podzielić "sprawiedliwie" teren, na którym okolice uprawy pszenicy sąsiadują z jałową przestrzenią pustyni? Czy podział taki nie wzbudzi nowych walk o ustalenie, a potem o zmianę granic kantonów?

Czyżby nie było żadnego rozwiązania dla problemów tego - tak niedawno jeszcze kwitnącego i ukazywanego za wzór tolerancji kraju? /W 1971 roku Liban gościł w swych hotelach i pensjonatach milion zwabionych urodą tej ziemi turystów zagranicznych/.

Jeśli uświadomimy sobie ten fakt mając równocześnie przed oczyma obecny obraz libańską rzeczywistością, to musi pojawić się pyśnienie o winnych, o odpowiedzialnych. Płomienny islamski fanatyzm przypomina żarliwością atmosferę średniowiecznych świętych wojen. Ale portrety Chomeiniego nie tłumaczą wszystkiego. "Cudzoziemcy, cudzoziemcy będą zagładą Tyru" - mówi Ezechiel. Czyżby to straszne proroctwo miało się po raz drugi spełnić, tym razem w stosunku do Libanu? Albowiem wygodnie jest prowadzić wojnę na ziemi nie swojej.

Ta wojna jest okrutna. Często, tak jak w Bejrucie, w czasie oporu stawianego przez Palestyńczyków walki toczą się w domach cywilnych i ginie ludność cywilna. Spirala gwałtu wciąga wszystkie walczące strony. Powiedzmy sobie zresztą szczerze, że "niewinne" wojny zdarzają się głównie w podręcznikach historii pisanych przez zwycięzców lub w takich częściach świata, gdzie dziennikarze nie mają prawa wstępu, a wojska okupacyjne kręcą kolejne kroniki filmowa, mająca być dowodem na ich humanitaryzm i gołębie serca. Ale zbrodnie popełniane na libańskich chrześcijanach nie mają sobie równych. Nie ma sensu wprowadzać tu analogii historycznych, lecz trzeba uświadomić sobie, iż po raz któryś w dziejach wypowiedziano walkę na śmierć i życie całemu ludowi. Chrześcijan wykorzystania się z ich odwiecznych siedzib, wyrzuca z ziemi, którą zamieszkiwali od 15 stuleci i zaciara po nich ślady niszcząc domy, a nawet... ogrody sadzona rękami "niewiernych".

A co na to świat? Nastąpiła "banalizacja" kwestii libańskiej, mówiąc inaczej: osłuchanie, przyzwyczajenie. Banalizacja nieszczęścia Libanu to coś, co sprawia, że tocząca się tam wojna stała się czymś "normalnym" i "naturalnym", a dochodzące atamtąd wieści puszczaemy zwykle "mimo uszu".

BOGUSŁAW SONIK

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"/

Niezależność Rumunii - prawda czy mit?

Polityka zagraniczna Rumunii określana bywa mianem niezależnej, a przykład tego kraju często przywoływany jest dla zilustrowania koncepcji o braku jedności w bloku państw socjalistycznych. Ostatnio znowu Rumunia pojawiła się w zachodnich środkach masowego przekazu jako "enfant terrible" Europy Wschodniej a stało się to w związku z zastrzeżeniami, jakie wysuwała wobec projektu przedłużenia Układu Warszawskiego na następna dwadzieścia lat. Stany Zjednoczone zdecydowały się udzielić Rumunii nowych kredytów, zachęcane tą "nieposłuszną" postawą wobec Związku Radzieckiego. Ta decyzja spotkała się z ostrą krytyką ambasadora amerykańskiego w Bukareszcie, który stwierdził, że poglądy o dużej czy coraz większej niezależności Rumunii od Związku Radzieckiego są zbyt optymistyczne; że polityka wewnętrzna i zagraniczna tego kraju nie daje podstaw by sądzić, że Rumunia rzeczywiście stanowi tak duży wyjątek wśród państw socjalistycznych.

My, obywatele jednego z krajów bloku, wiemy o Rumunii najczęściej niewiele a informacje, którymi dysponujemy są tak różne, że trudno na ich podstawie zbudować sobie jaki taki logiczny obraz. Z jednej strony docierają do nas wiadomości o takim czy innym posunięciu Rumunii, niezupełnie zgodnym z linią Wielkiego Brata i jego sojuszników. Z drugiej wiemy co nieco o kulcie jednostki a raczej dynastii Ceausescu, uprawianym w tym kraju i przywołującym na myśl zupełnie inny okres historyczny.

Proponuję trochę bliżej przyjrzeć się temu bałkańskiemu krajowi i spróbować wyjsnąć, przynajmniej w części, w jakich proporcjach mieszają się w nim niezależność i uległość wobec zasad czy też raczej sposobów, jakich używa Związek Radziecki rządząc swoim imparium.

Smiarć Stalina i tzw. "proces dastalinizacji" spowodował spore zamieszanie zarówno w teorii jak i w praktyce radzieckich stosunków z sojusznikami. Odejście od personalnej polityki Stalina jak i od wysiłków unifikacyjnych, opartych na terrorze i przymusie, pozostawiło po sobie pustkę, która powinna być została zapełniona przez inną, bardziej praktyczną koncepcję. Taką rolę miał odegrać pomysł Chruszczowa, by reżym Wschodniej Ruroy uczynić bardziej lagitymowanymi w oczach ich narodów i by w ten sposób uczynić ja bardziej stabilnymi. Sojusz ze Związkiem Radzieckim powinien, wg Chruszczowa, stać się bardziej dobrowolny i naturalny, większy nacisk powinno się położyć na wzajemną współpracę niż jednostronną dominację Związku Radzieckiego. Ta zmiana koncepcji i idąca za nią praktycznej polityki nie była jednak łatwa, ponieważ nia tylko sam Związek Radziecki przechodził proces zmian; zmieniły się również kraje-satality. Trudnym zadaniem okazało się wyposrodkowanie między zmianą a dazintegracją systemu socjalistycznych państw sojusznicznych. Jak się to okazało w praktyce, Związek Radziecki przygotowany był na najbardziej skrajne poaunięcia, by utrzymać jedność imperium; na dłuższą matę chciano jednak znaleźć rozwiązanie mniej dramatyczne a rokująca nadzieje na przetrwanie przynajmniej pawian czas. Takim rozwiązaniem stała się idea współpracy ekonomicznej opartej na podziale pracy między gospodarkami poszczególnych krajów socjalistycznych. Rumunia wystąpiła zdecydowania przeciwko takiej integracji i ten sprzeciw stał się początkiem jej "niezależnej" polityki. Oficjalnie rząd rumuński motywował swój sprzeciw obawą, nie pozbawioną zresztą podstaw, że taki podział pracy zmusiłby Rumunię, zacofany i w zasadzie głównie rolniczy kraj, do pozostania bez przerwy w tym samym stadium rozwoju. Rumunia w takim układzie gospodarczym stałaby się po prostu bazą surowcową i zaplaczem rolniczym dla innych, bardziej rozwiniętych przemysłowo krajów obozu. Kierownictwo rumuńskiej partii komunistycznej zdołało zmobilizować spora po-

parcia narodu, podnosząc ten problem, czy nawet rozbudowując go, posługując się przy tym dodatkowo argumentacją zarówno nacjonalistyczną jak antyradziecką. Jednak prawdziwy powód tej kampanii był nieco inny. Reżim Georgiu Deja, będącego wówczas u władzy w Rumunii, był w istocie wersją stalinizmu. Aby nie stać się ofiarą destalinizacji, Georgiu Dej postanowił równocześnie odizolować się od Związku Radzieckiego i zdobyć sobie poparcie narodu, przynajmniej do pewnego stopnia.

Kwestia gospodarcza bardzo dobrze nadawała się na to, by stać się owym problemem, wokół którego zmobilizowały się naród. Dawała rzeczywisty i usprawiedliwiony powód, by przeciwstawić się Rosjanom, a także była dla samej partii świetną okazją, by zaapelować do nacjonalistycznych i antyradzieckich sentymentów i zyskać w ten sposób plus dla siebie za działanie na rzecz narodu i kraju.

Sam moment, w którym Georgiu Daj zdecydował się na opozycję wobec Związku Radzieckiego był sprzyjający, ponieważ pozycja Chruszczowa w tym okresie nie była najmocniejsza. Właśnie wtedy nastąpił ów słynny rozłam między Chinami a Związkiem Radzieckim; nie powiedły się również wysiłki radzieckiego sekretarza, by zacieśnić stosunki z Jugosławią. Poważną porażkę poniósł on także w związku z kubańskim kryzysem raketowym. Tak więc reżim Georgiu Deja zdołał dość łatwo zdystansować się od wielkiego patrona; zachowując m.in. dobre stosunki z Chinami i zapoczątkowując ścisłą, jak na owe czasy, współpracę ekonomiczną z Zachodem, szczególnie zaś z RFN. Rumunia była pierwszym krajem, który uznał, w sferze stosunków handlowych, Berlin Zachodni jako część Niemiec Zachodnich.

W sferze polityki wewnętrznej reżim Georgiu Daja pozostał sztywny i ortodoksyjnie komunistyczny, aczkolwiek podkreślano równocześnie politykę derusyfikacji i "romanizacji" kraju. Przykładem derusyfikacji było rozwiązanie Instytutu Rosyjskiego w Bukareszcie a także czystka, która dotyczyła szkolonego w Związku Radzieckim personelu partyjnego i instytucji bezpieczeństwa.

Drugą, obok RWPG, instytucją, która mogłaby posłużyć za narzędzie wymuszonej integracji był Układ Warszawski. Jego znaczenie dla zacieśnienia współpracy między państwami obozu było szczególnie podkreślone przez Breżniewa. Rumunia próbowała jednak zdystansować się także i od tej współpracy. W 1958 roku na żądanie Rumunii, oddziały radzieckie zostały wycofane z tego kraju. W 1964 rumuńska armia została zredukowana drogą skrócenia okresu służby wojskowej z 24 do 16 miesięcy. Rumuni odmówili przeprowadzenia łącznych manewrów sił Układu na ich terytorium; odmówili również angażowania w te manewry w innych krajach swoich jednostek bojowych. Od 1967 roku Rumunia rozbudowuje swój własny przemysł zbrojeniowy, korzystając z konsultacji ekspertów chińskich, jugosłowiańskich i zachodnich.

Od połowy lat sześćdziesiątych Rosjani zmienili swoje poglądy na wojskową rolę swych europejskich sojuszników i zaczęli patrzeć na nich nie tylko jak na sferę buforową ale uznali ich wkład za istotny dla umocnienia bezpieczeństwa Związku Radzieckiego. Wobec takiej zmiany, wężej opisana postawa Rumunii mogłaby być uważana nie tylko za niezależną ale i niebezpieczną. Także jażali wziąć pod uwagę dążania Braźniewa w kierunku umocnienia i "dalszego udoskonalenia" Układu Warszawskiego, ta rumuńska kontrapolityka mogłaby być łatwo zneutralizowana. Tak się jednak nie stało, a na pytanie o przyczynę można odpowiedzieć na dwa sposoby. Po pierwsza być może uznano, że rumuńska niezależność poszła już zbyt daleko, by można było ją zakończyć stosunkowo niskim kosztem. Po drugie, i bardziej prawdopodobne, małe znaczenie strategiczne regionu Bałkanów skłoniło Rosjan do tolerowania takiego nieposłuszeństwa, zwłaszcza, że wewnętrzna stabilizacja kraju pozwalała sądzić, że mimo wszystko Rumunia nie "odejdzie" z bloku socjalistycznego. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że Rumunia także i tym razem, we wczesnych latach sześćdziesiątych, zaczęliwie dla siebie trafiła na moment pewnego osłabienia wewnętrznego Związku Radziec-

kiego. Rozgrywki wewnętrzne i budowanie trwałej struktury władzy zajmowało radzieckich przywódców w owym okresie dość intensywnie, tak, że w gruncie rzeczy Rosjanie nie wypracowali wyraźnej doktryny dotyczącej polityki wobec Wschodniej Europy, Rumunia więc miaściła się w zakresie dowolności działania, który pozostawiono wówczas obozowi.

Rumuńska polityka wewnętrzna, jak już wspomniano, była istotnie stabilna. Nie przeszkodziła temu nawet śmierć Georgiu Deja i objęcie władzy przez Nicolae Ceaucescu. Ceaucescu rozwija koncepcję o jedności partii, państwa i narodu jako syntezy historycznych aspiracji Rumunów i w ramach tej koncepcji zjednoczył w swoim ręku najwyższe stanowiska partyjne i państwowe. Polityka umacniania jednolitej, własnej władzy w kraju jest także częścią innej koncepcji Ceaucescu, a mianowicie, że siła i jedność całego bloku zależą od siły i jedności poszczególnych państw tego bloku. Ceaucescu kontynuują też praktykę osobistej polityki i dyplomacji i kultuwuje ideę przywódcy narodu, który jest gwarantem jedności i siły państwa.

Bardzo ważne dla praktyki polityki rumuńskiej są także inne zasady czy koncepcje, na które kładzie się tam duży nacisk. Chodzi przede wszystkim o podkreślenia roli narodu, także w powiązaniu z rowojem socjalizmu; dla Rumunii ważne bardzo jest wypośrodkowanie między narodowym i międzynarodowym komunizmem, uznania różnych narodowych dróg do socjalizmu. Według koncepcji rumuńskiej, stosunki między państwami w bloku socjalistycznym powinny być oparte na zasadzie dobrowolnych spotkań, dwu i wielostronnych, których celem byłoby głównie wzajemne informowanie się, nie zaś wypracowywania wspólnej polityki. Rumunia głosi też niezależność każdej partii komunistycznej w okraślaniu i prowadzeniu praktycznej działalności.

Rumunia prowadzi swoją politykę mniej więcej zgodnie z tymi zasadami, czego rezultatem jest do pewnego stopnia niezależna polityka zagraniczna i sztywna, oparta na wymuszonej jedności polityka wewnętrzna. Rumuńska niezależność zewnętrzna ma także inne, poza teoretycznymi przyczyny, przede wszystkim ekonomiczne. Na początku wspomnieliśmy, że rumuński protest przeciw integracji oparty był na uzasadnionych obawach, że kraj zoatanie zepchnięty do roli zaplecza surowcowo-rolniczego. Od tego czasu Rumunia w zasadzie nie przestała powoływać się na swój niski stopień rozwoju gospodarczego i żąda dla siebie statusu kraju rozwijającego się. Jest członkiem Grupy 77 i stojąc na tej pozycji usiłuje otrzymać pomoc ze wszystkich możliwych źródeł. Oprócz tego szerokie kontakty dyplomatyczne mają ułatwić Rumunii zdobywanie surowców a przede wszystkim ropy naftowej dla przemysłu naftowego, który rozwijano zaraz po wojnie opierając się na przekonaniu o dużych krajowych zasobach tego surowca. W rzeczywistości zasoby te okazały się niewystarczające i wobec tego dla utrzymania zyskowności tego przemysłu, Rumunia musi importować ropę naftową, wobec czego stara się utrzymać dobre stosunki ze wszystkimi jej eksporterami, co niewątpliwie nie jest łatwym zadaniem dyplomatycznym.

W końcu lat siedemdziesiątych ta niezależna polityka Rumunii wydawała się być rzeczywiście bardzo zaawansowana. Pozycję tego kraju jako "enfant terrible" bloku socjalistycznego można by uznać za ustabilizowaną, co prowadziło do refleksji, że korzysta z niej także Związek Radziecki przy rozwiązywaniu delikatnych kwestii dyplomatycznych.

Rumunia była jedynym krajem socjalistycznym, który skrzykował radziecką inwazję na Afganistan. Nie nazywając wprawdzie agresora po imieniu, Rumunia jeszcze raz silnie podkreśliła zasady suwerenności, niezależności i nieinterwencji w wewnętrzne sprawy innych państw. Można przypuszczać, że właśnie wtedy Rumunia została wykorzystana jako pośrednik między dwoma mocarstwami, tak jak to zdarzyło się w okresie kryzysu bliskowschodniego z 1967 roku, ponieważ Gromyko odwiedził Bukaraszt zaraz po wizycie wysokiego funkcjonariusza amerykańskiego departamentu stanu i niemieckiego kandydata na kanclerza F.J. Straussa. Pozwala się to domyślać, że tą drogą pośrednio wymie-

niono poglądy między Wschodem a Zachodem.

Przykładów owej niezależności polityki Rumunii na pewno jest dużo, a przede wszystkim są one bardzo wyraźne, by nie rzec spektakularne. Należy jednak wziąć pod uwagę, że o ile w późnych latach pięćdziesiątych i dekadzie następnej były one rzeczywiście odosobnione, o tyle lata siedemdziesiąte i detente bardzo zmieniły obraz stosunków wewnętrznych w bloku radzieckim jak i politykę poszczególnych krajów obozu. W statystycznym zestawieniu dwustronnych kontaktów zagranicznych między krajami Wschodu i Zachodu, dokonanych przez Lindena, a zaraz po Rumunii plasowały się /przed 1980 r./ Polska i Bułgaria, a różnice w ilości tych kontaktów utrzymywanych przez te kraje były minimalna. Przykład Rumunii jest wyjątkowy o tyle, że jej niezależna polityka manifestuje się nie tylko w utrzymywaniu szerokich i zróżnicowanych kontaktów międzynarodowych, ale także w oświadczeniach i działaniach, których nie praktykują inne kraje socjalistyczne. Te dwa "typy" niezależnej polityki Linden nazywa "odrębnością postaw" i "odrębnością międzynarodową". O ile Rumunia zajmuje pierwsze miejsce na obu polach, o tyle np. Polska wykazywała więcej niezależności na polu międzynarodowym - 4 miejsce, a mniej w postawie - 5 miejsca wśród krajów socjalistycznych.

Jeżeli rozważył początki rumuńskiej niezależności, to należy przyznać, że dokonywały się one w sprzyjających warunkach słabości i braku stabilizacji przywództwa radzieckiego. Tskże biorąc pod uwagę dramatyczną wstrząsy i zaburzenia, które towarzyszyły destalinizacji, przypadek Rumunii musiał wydawać się Rosjanom niespecjalnie niebezpieczny czy znaczący.

Niebezpiecznym momentem dla rozwoju rumuńskiej polityki był rok 1968, kiedy inwazja na Czechosłowację pokazała, że Związek Radziecki może stosunkowo bezkarnie interweniować w państwach bloku, nie powodując daleko idących konsekwencji międzynarodowych. Obawiano się zresztą w Rumunii, że stanie się ona następnym rosyjskim celem i Caucescu podjął wówczas przygotowania, nie tylko propagandowe, do odparcia inwazji. W tym momencie Rosjanie byli silni i skonsolidowani i fakt, że w ostateczności inwazja nie nastąpiła można było przypisać tylko celowemu zaniechaniu tej akcji. Wśród możliwych motywów, dla których Rosjanie nie starali się uporządkować polityki rumuńskiej, może być położenie geograficzne tego kraju. Region Bałkanów uważany jest za mało znaczący zarówno politycznie jak i strategicznie; w centrum uwagi Układu Warszawskiego znajduje się raczej jego tzw. "północna flanka" - spośród 43 manewrów wojskowych, które przeprowadzono w okresie od 1961 do 1974 roku, 38 było przeprowadzonych na północy. Oprócz tego Rumunia ma najdłuższą granicę ze Związkiem Radzieckim i otoczona jest przez kraje obozu, co daje gwarancje jej lojalności. Ponadto Rumunia nie może wejść w bliższe porozumienia z żadnym ze swoich sąsiadów także dlatego, że istnieją między nimi silne i zadawnione spory i konflikty atniczne i terytorialne, pochodzące czasem sprzed okresu ustanowienia "wspólnoty" socjalistycznej.

Wewnętrzna polityka Rumunii jest również do pewnego stopnia gwarantem jej socjalistycznej stabilizacji, polityka, która oprócz siły, opiera się także na społecznych realiach Rumunii. Szacunek dla hierarchii, autorytaryzm, paternalizm i zupełny brak tradycji demokratycznych mają duże znaczenie dla określenia obrazu życia społecznego Rumunii.

Do wszystkich wyżej wymienionych przyczyn, doszły w latach siedemdziesiątych nowe, głównie ekonomiczne. Otóż europejskie kraje socjalistyczne nie stanowią już tak dobrego terytorium do eksploatacji, jak to było w latach powojennych. Wręcz przeciwnie, w wielu dziedzinach stają się ona coraz większym ciężarem ekonomicznym dla swojego patrona. Z tego punktu widzenia fakt, że Rumunia stara się swoje, niemałe zresztą problemy gospodarcze, rozwiązywać w oparciu o Zachód, jest dla Związku Radzieckiego bardzo wygodny.

Z powyższych rozważań można wysnuć wniosak, że o ile na początku, w momencie stabilizowania się bloku socjalistycznego, Rumunia mogła wydawać się krajem niebezpiecznym niezależnym politycznie, o tyle obecnie jej przykład nie jest już ani tak wyjątkowy, ani uderzający. Zamiast więc "enfant terrible", Rumunię można by nazwać "odrobinę niechętnym sojusznikiem", który mimo wszystko prowadzi swoją politykę zagraniczną zgodnie, a wewnętrzną może nawet bardziej niż zgodnie, z podstawowymi priorytetami Związku Radzieckiego.

FLORENTYNA ŁĘCZYCKA

Przypisy:

1. Ionescu, G., "The Break-up of the Soviet Empire in Eastern Europa", Penguin Books 1965, s.131
2. Remington, R.A., "The Warsaw Pact", The MIT Press, London 1971, s.172
3. Fisher-Galati, S., "Eastern Europa in the 1980s", London, 1982, s.221
4. Jowitz, K., "The Romanian Communist Party and World Socialist System: A redefinition of unity", World Politics Oct 1970, ss 38-61
5. Radio Free Europa Research, BR 23/80
6. Linden, "Bear and Foxes: The International Relations of the East European States", Boulder 1979, s.191
7. Ross-Johnson, "Has Eastern Europe become a liability to the Soviet Union - The Military Aspect", brak miejsca i roku wydania, s.53

LISTY DO REDAKCJI

Mam parę uwag na marginesie artykułu Timothy Garton Ash'a /BD nr 4 "Strefy wpływów", za NY Review of Books/.

Nie zamierzam polemizować z tak bardzo moralnym i niejednostronnie dostrzegającym zło autorem - zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Zwróć tylko uwagę na interesującą pogardę dla wyborów w Salwadorze. Publicysta angielski najwyraźniej uważa, iż w tym regionie, zwłaszcza do czasu likwidacji analfabetyzmu, bardziej wskazane są inne polityczne rozwiązania i metody. Bardzo trafna wydaje się więc teza, iż reżim naprawdę totalitarny obalić można "gdy większość społeczeństwa obróci się przeciw niemu". Niewątpliwie jest to wówczas dziecinnie proste, zwłaszcza przy użyciu kijów od szczotek, jako że wszelkie dostawy broni są niemoralne. Są takie tym bardziej, iż przecież niełatwe jest ustalenie, czy większość społeczeństwa już się "obróciła przeciw", czy też działać zaczyna, inspirowana przez amoralnych Amerykanów, brzydka kontrrewolucjs. Moje duże zainteresowanie wzbudziły również konkluzje autora. Nie bardzo je co prawda zrozumiałem /może to wina tłumacza/, ale wydają się one sugerować, iż antyamerykanizm jest zawsze odczuciem czystym i szlachetnym. Ponieważ Mr.Ash tak bardzo interesuje się "Solidarnością" /za co dzięki/, a jednocześnie zastanawia się "jak rozwinie się" reżim w Nikaragui, zapewne zainteresuje go, iż rozwinął się on już tak, że wprowadzono państwowe związki zawodowe, a działacze dogorywających związków wolnych są aresztowani, bici i wyrzucani z pracy. Jeden z nich porównał już "S" ze swym związkiem, a Nikaragwę z Polską: "Jesteśmy, tak jak Polska, krajem gdzie obywateli można więzić dowolnie. Oba rządy nazywają też niezależne związki antysocjalistycznymi agenturami imperializmu" /październik 1984, za New Republic, wg relacji amerykańskiego związkowca/.

Sedno długiego artykułu tkwi zresztą w dwóch innych malutkich jego fragmentach. Pierwszy mówi o "demonizowaniu komunizmu", w drugim odnajdujemy pytanie: "Czy możemy po prostu zaufać słowom jednego rządu

bardziej niż innego? Dlaczego powinniśmy?" /niezorientowanym wyjaśniam, iż rząd nr 1 to rząd Stanów Zjednoczonych A.P., natomiast "inny rząd" /nr 2/, to Politbiuro Komunistycznej Partii Związku Radziackiego/.

W tych fragmentach ujawnia się mentalność współczesnego intelektualisty zachodnioeuropejskiego. Odrzuca on z pogardą prostacki, obsesyjny i retoryczny /Reaganowski / wymysł o stałej, trwałej, podstawowej i wciąż trwającej zimnej, gorącej i letniej wojnie między sowieckim marksizmem-leninizmem a cywilizacją zachodnią. Jest to bowiem przesada, nic takiego nie ma miejsca, groźba sowiecka jest "demonizowana" a zachodni Europejczycy, tak przecież przez wieki dojrzałi, mogą ze spokojem zająć stanowisko mniej lub bardziej zainteresowanego arbitra między tzw. supermocarstwami. Co prawda Sowici nigdy nie ukrywali swych celów, ale ich retoryka /podobna jak ta z Main Kampf/ nie zasługuje na to by jej uwierzyć. Znacznie lepiej skoncentrować się na krytyce retoryki Reagena. Oznacza to po prostu, iż CCCP równa się USA. Mniej więcęć. Różnica należy wziąć pod lupę i intelektualnie rozważyć. Postawa taka zwała się zawsze neutralizmem. Są "dwa rządy". Europa Zachodnia, a ściślej jej ality, mogą więcęć, a raczej wręcz powinny, za wyżyn swej neutralności tudzież starej cywilizacji i wielowiekowej kultury, dogłębnia i abstrakcyjnia ocenić ich posunięcia. Autor mówi nswat o "amerykańskiej demokracji" /a nia o "zachodniej"/. Europa Zachodnia jest więcęć jak najdalsza od demonizowania czegokolwiek /może poza CIA/. Poniaważ zaś żadnego globalnego konfliktu nia ma, pozycja "moralnego obsarwatora" jest jedynie wskszana i oczywista. Jest ona ponadto intalektualnie uczciwa i jakże bezinteresownie piękna. Poparta zarówno militarną siłą, jak i psychiczną mocą, daterminacją i tak widócznym ogólnym dynamizmem społeczeństw i rządów umożliwia nieprzejmowanie się żadnymi "prawami kół historii" głoszonymi wyłącznina teoretycznie przez Sowiety. Nia przeczenia w żaden sposób "marksizmu-leninizmu" ani jego "wewnętrznej skuteczności". Bo i po co?

Mr. Ash'owi nie przychodzi do głowy prosta odpowiedź na pytanie "Dlaczego powinniśmy?" /nie utożsamiać USA z ZSRR/. A brzmi ona: bo Stany Zjednoczone są naszym sojusznikiem. Jest to jednak odpowiedź zbyt jednostronna. Można być przecież oskarżonym o manicheizm i prymitywną retorykę, a przede wszystkim nie będzie się wówczas "postępowym" w żadnym sensie. Odnosi się wrażenie, iż niemal wszyscy politycznie aktywni zachodni Europejczycy zmierzają tak, siak czy owak, bezwiednie lub siłą bezwładu, humanistycznie bądź letargicznie, nieświadomie lub z chęcią szczerą do osiągnięcia jednego celu. Wszyscy: od M. Marchais do Mr. Ash'a, od pacyfistów i wszelkich, niezależnina od ich gospodarczej orientacji, rządów lewicowych do pozbawionych wyobraźni, ociężałych, kupieckich i tchórzliwych rządów prawicowych.

Cel ten, to wyrzucenie z Europy na zbitą twarz wszystkich Amerykanów. Jest zresztą wysoce prawdopodobne, iż Amerykanie pierwsi przestaną sobie zawracać głowę Europą. Handlować można i z Bułgarią, a wielu znawców twierdzi, iż przyszłość należy do tzw. strefy Pacyfiku.

Uważam, iż publikacja tekstu Ash'a była przedsięwzięciem bardzo cannym. Jego nazwisko kojarzy się nam z głębokim zrozumieniem sprawy "Solidarności". Mamy zaś skłonność mylenia podobnej postawy z oczekiwany przez nas "odrodzeniem Zachodu". Pomyłka nasza jest niestety zasadnicza. Rzeczywistość zaś określić można krótko: publicyści w rodzyszu J.F.Revela czy A.Besançona stanowią wciąż mniejszość na zachodnim subkontynencie.

MACIEJ KARWOWSKI

Kochani!

W n-rze 5 Bez Dekretu podaliście nieprawdziwą wiadomość /str.9/, że 19-letni zabójca sierżanta Karosa został skazany na karę śmierci i że podobno wyrok wykonano. Otóż Robert Chechłan, którego uznano za sprawcę oddania śmiertelnego strzału nie miał w chwili czynu 18 lat i oczywiście nie mógł dostać kary śmierci. Został skazany na 25 lat więzienia. Natomiast kolega, który z nim był miał 19 lat. Nie był on jednak bezpośrednim sprawcą zabójstwa i skazano go na 13 lat. Nawiasem mówiąc, warto by wszcząć akcję na rzecz złagodzenia kary Robertowi Chachłanowi, biorąc pod uwagę kary na jakie skazano Pękale i Chmielewskiego.

JURYSTA

TUMANY I FETYSZE

Smutno mi Boże

Sam nie wiem dlaczego, ale mi smutno... Przeraził mnie smutno. Przyjacieli twierdzi, że to pewnie bierze się z naćwierzności, czy niedo-
czynności tarczyca. Mówi tak, żeby mnie pocieszyć i skanalizować mój ogromny smutek. Tarczyca, po pierwsze, to babska choroba, a po drugie na oko mam ją zdrową - a smutek mi nie mija.

Smutno mi, bo nie mogę być legalistą. Chciałbym, a wszystko staje w poprzek. Uznałbym już nawet nałogowo-stalinowską genezę władzy, ale, jak uznać to, że stale się ośmieszam. Takiego Olszowskiego nie przyjmuje włoski premier za jaseńka zwane procesem gdańskim, gdzie skarano A. Michnika, którego premier Włoch ceni i szanuje. Skoro ceni Michnika nie może ścisnąć prawicy Olszowskiego. Ja także samo. Zgadza się z Craxim. I nie mogę pokochać Olszowskiego, kochając Michnika.

I tsk stale. Weźmy choćby tę ich nową ustawę prawną zatwierdzoną 10 maja br., a obowiązującą od 1 lipca. Dlaczego tak się utajniają i nie przekazują społeczeństwu jej dokładnej treści? Ja wiem - bo jest haniebna i śmieszna. I jak mam pokochać posłów, którzy też są "władzą", a którzy ową ustawę zatwierdzili? Dalej - jak mam pokochać Prymasa Glempa, który bardzo chce mieć we "władzy" swoich posłów? Niby rozumiem, że polityka odbywa się w salonach i tam trzeba być. O tym pisze nawet Zbigniew Brzeziński.

I dobrze, ale co się odbywa w naszych sejmowych salonach? Jest się. Może to dużo, bo ponoć nieobecni nie mają racji. I znowu zaczyna mi być smutno, bo u nas głównie obecni nie mają racji. Próbuje zgłębić ten problem, ale nader bezskutecznie. Mój przyjaciel na wszystko szuka odpowiedzi w uczonych księgach i udaje, że je znajduje. Mnie udało się w życiu przeczytać parę mądrych ksiąg pisanych przez bardzo uczonych ludzi i doszedłem do wniosku, że znacznie częściej znajduję odpowiedzi w powieściach sowizdrzańskich. Mój przyjaciel nie wierzy w to, bo żywi wielkie nabożeństwo do ksiąg podpisanych nazwiskami z tytułami naukowymi. Mnie tytuły nie szpanują, bo tatuś robił doktorat jedną ręką, a drugą bujał moją kołyskę - mam więc niejako we krwi tytuły naukowe oraz mądrość z nich płynącą, kiedy mówię do mojego przyjaciela, że polityka to sposób sprawowania władzy - na przykład. On pyta - gdzie to przeczytałem. A ja nie wiem, bo tak mi się powiedziało. Przyjaciel zaś wtedy robi mi wykład, że

ten napisał o polityce to i to, a wszystko wskazuje na to, że nie ma polityki bez "zaplecza" filozofii etc. Mnie robi się smutno, bo wnoszę z tego, że nie ma u nas polityki, czyli nie ma władzy i nie mogą być legalista.

Wszystko to bardzo nieuporządkowane, drogi Czytelniku, ale przeczytałem ostatnio u Kisielea, że "umysł porządkujący przynosi nam więcej zła, niż umysł chaotyczny".

Pozostanę więc przy moim chaotycznym, bo, jak widzisz, porządkowanie doprowadziło mnie do smutnych wniosków.

Nie jestem z siebie kontent z tytułu napisania tego felietonu, który i tak wydrukuję, bo takie mam możliwości. A propos "kontent" - wyżej wspomniany Kisiel napisał: "głupiec jest kontent z siebie, gdyby przestał być kontent, przestałby być głupcem". Wnoszę z tego, że nie jestem głupiec. Ba, pociągnę to dalej, z odgłosów, które docierały do mnie przez skomasowane zagłuszenie posłyszałem, że radio Wolna Europa oceniła nasze "B.D." jako idące "w górę". No i tak powolutku wychodzę ze smutku. Trzeba je robić, choć czasem siłą, a głównie pieniądze nie stają. To ostatnia stwierdzenie jest tak bardzo prawdziwe, iż winni je sobie wziąć do seroa moźni tego świata, a efekty ich decyzji winny dać o sobie znać. Podziękowanie napiszemy na pierwszej, bądź na ostatniej stronie. Wiem, iż w porządnym komunistycznym kraju wstyd mówić o pieniądzach - to należy do dobrego tonu. Jednakowoż powyżej dowiodłem, że my nie legaliści i szukamy władzy na okoliczność bycia legalistami. Nie obowiązują mnie więc dobry ton wymyślony na Nowym Świecie. Tamci myśliciele nic nie mówiąc, bo to wstyd, na pożyczali miliardy dolarów... Nie liczę na tak wiele, ale trochę by się przydało. Drukowanie coraz droższe, papier też, nie mówiąc o benzynie - kolportaż jeździ, kochani, i to czasem spory kawał drogi. Tak więc nie krępujcie się, skoro ja się nie krępuję i traktujcie sprawy finansowe jako te najbardziej ludzkie.

Pozdrawiam

KONRAD STRUGA

Cena 250 zł

3

BEZ
DEKRETU

BEZ DEKRETU
1985

NR 8 KRAKÓW